NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23**, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — **Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie:** za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 27 czerwca 1914.** **Nr. 26.**

Straszna katastrofa w przestworzach.



Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończymy II-gi kwartał XI-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Galicyi przekazy pocztowe celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·— marek
Półrocznie	8 „	8·50 „
Kwartalnie	4 „	4·25 „

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

W. Biernacki i Spółka w Warszawie
Krakowskie Przedmieście 6.

Prenumerata wynosi:

Rocznie 7 Rbs. 20 kop. — z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Półrocznie 3 Rbs. 60 kop. — z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop.

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.



Straszna katastrofa w przestworzach: Szczątki spalonego balonu „Kaerting" w Fischamend pod Wiedniem.

Straszna katastrofa w przestworzach.

(Do illustracyi tytułowej).

Postęp aeronautyki i lotnictwa od początków swych krwawym śladem znaczy się przez ludzkość: nieokiełznane przestworza zazdrośnie bronią swych tajemnic, strącając raz poraz śmiałków — Ikarów — którzy w nie wtargnąć usiłują. Większość tych współczesnych bohaterów nauki i odwagi śmiałe swe wzloty życiem przypłaciła, a żegluga powietrzna jak była tak i jest hazardem najniebezpieczniejszym — a jednak nęcącym. W tych dniach ludzkość cywilizowaną wstrząsnęła wieść o strasznej katastrofie lotniczej, jaka zdarzyła się pod Wiedniem. Przebieg jej był następujący: Na wojskowym placu ćwiczeń lotniczych w Fischamend pod Wiedniem miały odbyć się w ubiegłą sobotę rano ćwiczenia jednego balonu pod nazwą „Kaerting" i aeroplanu, biplanu



Straszna katastrofa w przestworzach: Ofiara katastrofy pod Wiedniem por. Otto Haidinger.

systemu Farmana. Zadaniem aeroplanu było ściganie balonu. Istotnie na wysokości 600 m. aeroplan okrążył kilkakrotnie balon i chciał w końcu ponad nim przepłynąć, przyczem jednak zaczepił o powłokę balonu i przedarł ją. W jednej chwili buchnął olbrzymi słup ognia i rozległ się straszliwy huk. W kilka sekund później balon spłonął, przyczem spalił się i spadł także aeroplan. W gondoli balonu znajdowało się siedmiu pasażerów wojskowych: kapitan Hauswirth, porucznik Hofstädter, porucznik Breuer (instytut wojskowy-geograficzny), porucznik Haidinger, kapral Habima, gefreiter Weber i inżynier Kammerer, który miał robić zdjęcia fotograficzne z gondoli balonu. W aeroplanie zaś znajdowali się porucznik K. Flatz i kapitan Puchta. Wszyscy oni zginęli na miejscu, spaliwszy się natychmiast jeszcze nad ziemią.

Straszna ta katastrofa, największa z dotychczasowych po Zeppelinowskiej, okryła żałobą cały Wiedeń oraz wojskowość austryacką, bowiem tak okropnie polegli lotnicy byli najlepszymi awiatorami armii austryackiej. Kapitan Hauswirth był jednym z najstarszych lotników wojskowych i był przydzielony do stacyi lotniczej w Fischamend od chwili jej utworzenia. Porucznik Flatz był jednym z najlepszych pilotów.

Po katastrofie rozegrała się okropna scena, gdy na lotnisko przybyła żona porucznika Hofstädtera, który ożenił się dopiero przed 4 tygodniami. S. p. Hofstädter umówił się z żoną, aby po niego przyjechała. O godzinie 11 przed południem Hofstädterowa przyjechała istotnie automobilem, aby zabrać męża i była świadkiem okropnej katastrofy.

Szkoła gospodarstwa domowego.

Powiedział ktoś kiedyś, podobno nawet wielki filozof, — że — „dobry obiad jest podstawą szczęścia

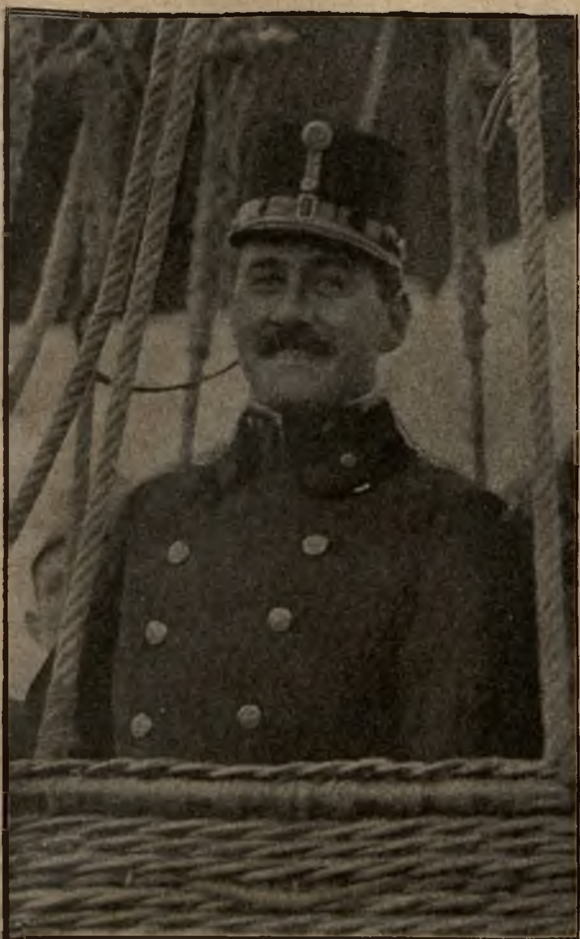


Z tragifarsy albańskiej: Ks. Wied (✕) dokonywa przeglądu swej armii.

małżeńskiego“ i w znacznej części miał racyę — dobry, smaczny, na czas podany i tanio skombinowany — obiad, to symbol ładu gospodarstwa domowego. Niestety, filozofię tę kulinarno-małżeńską ignorują coraz bardziej współczesne panie; dzisiaj łatwiej o ścisłą filozofkę, astronomkę, pilotkę, polityczkę etc., niż o prawdziwą kobietę-gospodynię. I cierpią na tem najwięcej same kobiety — bo jak obliczył jeden z naszych czytelników, mający dużo czasu — w ostatnich latach liczba starych panien wzrosła o 18% i wykazuje wciąż tendencyę zwyżkową — powody łatwo sobie dośpiewa każdy z czytelników. Jednym z nich, bodaj największym jest brak przygotowanych do życia gospodyń — i tej właśnie



Straszna katastrofa w przestworzach: Lotnicy porucznik Flatz i kapitan Puchta w aeroplanie, który spowodował katastrofę.



Straszna katastrofa w przestworzach: Ofiara katastrofy lotniczej pod Wiedniem kap. Hauswirth

bolączce naszego społeczeństwa mają zaradzić szkoły gospodarstwa domowego.

Najpoważniejszą z nich w naszej dzielnicy jest miejska szkoła w Krakowie, mająca już ustaloną renomę i gromadząca panienki z całej Polski. W szkole tej uczą się one wszystkich umiejętności niezbędnych kobiecie, zapoznają się z igłą i warzechą, rondlem i szydełkiem, a także w miarę upodobania z krosnami, paletą i dłutem, ale ze wszystkimi w zakresie przyszłej użyteczności domowej!! W tych dniach odbyła się w szkole uroczystość egzaminu i otwarcie wystawy, która dała dowód umiejętnego kierownictwa i wielkich postępów uczennic oraz zaświadczyła najdowodniej o pożyteczności i potrzebie instytucyi. Przemawia za tem także rozwój szkoły: podczas gdy przed 4 laty t. j. po jej założeniu, liczyła z końcem I kursu zaledwie 120 uczennic, przed 3 laty około 300, obecnie zaś liczy przeszło 600 uczennic i frekwentantek.

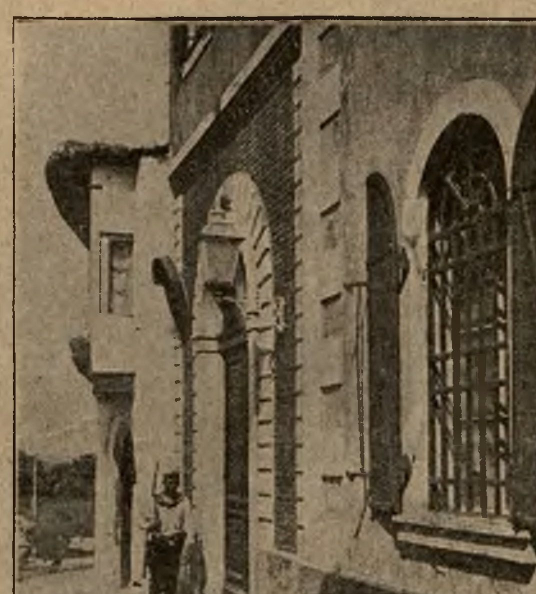


Szkoła gospodarstwa domowego: Wystawa prac uczenic miejskiej szkoły gospodarstwa domowego w Krakowie.

Po zwiedzeniu wystawy nastąpił popis kulinarny uczennic p. Izy Rakowiczównej, nauczycielki gotowania. Uczennice same podawały zaproszonym gościom do stołu, a apetyt, z jakim spożywali jej goście, rokuje przyszłym gosposiom najlepsze w tej dzie-



Szkoła gospodarstwa domowego: Uczenice miejskiej szkoły gospodarstwa domowego w Krakowie na popisie.



Z tragifarsy albańskiej: Poselstwo austryackie w Durazzo.



Pamięci przyjaciela młodzieży: Uroczystość odsłonięcia pomnika ś. p. dra Jordana w parku Jego imienia.

dzinie sukcesy na przyszłość. Na czele tej pożytecznej instytucyi stoi p. Bieńkowska, doświadczona i bardzo dzielna wychowawczyni.

Pamięci przyjaciela młodzieży.

Kilka lat minęło od śmierci wielkiego filantropa młodzieży krakowskiej, ś. p. Henryka Jordana, a idea jego coraz silniejszy oddźwięk znajduje w naszem społeczeństwie. On pierwszy nawoływał do baczenia na wychowanie fizyczne młodych pokoleń, a nawet temu celowi poświęcił większość swego życia, pracy i majątku. Dzisiaj rozumiemy doniosłość jego pracy i dzisiaj dojrzało w nas należycie uznanie dla jego zasług i ofiar. W ubiegłą niedzielę odbyła się w parku — jego darze miastu Krakowowi, odsłonięcie pomnika tego zasłużonego męża — uroczystość niezwykle rzewna i miła, pamięć bowiem swego dobroczyńcy czciła głównie młodzież, tak przezeń ukochana.

Uroczystość odsłonięcia pomnika minęła wśród bardzo podniosłego nastroju. Orkiestra szkół średnich odegrała poloneza, chór uczniów gimnazyum odśpiewał szereg pieśni. Następnie przemówił w gorących słowach prezydent miasta Eksc. dr. Leo, a potem wygłosili mowy: inspektor szkolny radca dw. M. Zaleski, rektor Wszechnicy Jagielońskiej, prof. Dr. K. Kostanecki imieniem Uniwersytetu i lekarzy, radca rządu dyr. Józef Winkowski imieniem nauczycielstwa i jeden z uczniów gimnazyalnych. Na zakończenie uroczystości przedefilowała przed pomnikiem tłumnie zebrana młodzież wszystkich szkół krakowskich.

Z tragifarsy albańskiej.

Najmłodsze, jedno z najmniejszych, a pomimo to najbardziej interesujące w Europie jest obecnie państwo albańskie. Kłopotów, które ono przysporzyło



Z tragifarsy albańskiej: Poselstwo włoskie w Durazzo.

swemu „władcy", rodzicom chrzestnym: Austryi i Włochom, oraz cioci Europie, jak to mówią, „na wołowej skórze by nie spisać". Od szeregu tygodni przedstawiają wypadki w Albanii „widowisko, któremu trudno dać nazwisko". Farsą są te historye z powstańcami, ich pogromcami-protektorami, ministrami i generałami o operetkowych nazwiskach, wojskami, które bić się nie chcą, księciem, siedzącym na tronie, wielokrotnie już wypowiedzianym. A jednocześnie ludzie ci i kraj przeżywają bądź co bądź tragedye. Księciu Widowi idzie przecież o życie, a i wiele innych już żywotów ludzkich padło ofiarą tej tragifarsy. Elementem istotnym, który ją stwarza, jest to nieporozumienie, jakie istnieje pomiędzy Albańczykami a ich niefortunnym „mbretem" co do praw i obowiązków księcia i poddanych. Doskonale maluje to nieporozumienie żądanie, jakie postawili księciu Wiedowi powstańcy: uznają go księciem, jeżeli uwolni ich od wojska i podatków — czyli od tego wszystkiego, czego książę, jako taki, od nich właśnie wymaga. Jeżeli książę i Europa zaakceptują ten oryginalny postulat — to dalsze akty tragifarsy albańskiej mamy na dłuższy czas zapewnione.



Pamięci przyjaciela młodzieży: Deputacye z wieńcami i skauci oczekują na Błoniach swej kolei złożenia hołdu przed pomnikiem dra Jordana.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

4

To była reguła.

Zdarzały się jednak wyjątki, wprawdzie rzadkie, ale bywały. I właśnie dzisiaj, Szabelski, po wypłacie tygodniowej w swej małej fabryczce, nie zaszedł jak zazwyczaj do sklepu, lecz udał się wprost do domu, ażeby po wcześniejszej kolacyi pójść na piwo i zadziwić niezwykłem w tej porze zjawieniem się swych znajomych.

Wszedłszy do kamienicy, uśmiechał się na myśl, jaką niespodziankę zrobi żonie i jak ona się ucieszy, obaczywszy go tak wcześnie.

Już na schodach, pod swemi drzwiami, posłyszał krzykliwy płacz swej córeczki Irenki i niespokojny, że dziecku przytrafiło się coś złego, pospieszył do mieszkania. Nie rozbierając się, skierował się szybko w stronę głosu, do sypialnego pokoju.

Zobaczył Irenkę zanoszącą się od płaczu, siną z krzyku, która, zobaczywszy ojca, przestała płakać i krzyczeć, patrząc na niego zdziwionemi, ale i ufnemi oczkami.

— Co boli Reniusię? Dlaczego płakała, — wziął ją na ręce.

Dziecko przypomniało sobie swój krzyk i płacz, i widocznie uznało niewłaściwość nagłego zaprzestania, gdyż znów zaczęło niemiłosiernie wrzeszczeć.

— Dam ci cukierka... kupię laleczkę... tylko cicho... nie płacz, — ocierał dziecku nos i oczy.

Dziecko zakrzyczało jeszcze kilka razy, wsłuchując się w swój głos, i łkając cicho powiedziało:

— Cukierka...

Dobry ojciec, ale żaden pedagog i hygienista, miał w swej szufladzie zawsze zapas cukierków dla jedynaczki. Poniósł córeczkę do stolika i mała wzięła z uśmiechem zadowolenia cukierki w dwie swoje garsteczki. Dziecko postawił na posadzce, zdjął kapelusz i spytał:

— A dlaczego Reniusia płakała?

— Bo Renusia była sama.

— Gdzież mama?

— Wyszła.

Nie dowierzał dziecku, rozejrzał się po pokoju. Łóżko po śnie poobiednim było niezasłane; brudny szlafroczek zwieszał się melancholijnie z poręczy krzesła; na dywaniku leżały przydeptane pantofle i dziurawe pończochy. Zdawało mu się, że żona nie mogła wyjść z domu, zostawiając taki nieład.

— Czy mama w kuchni?

— Nie.

— A gdzie Rózia? — spytał o niańkę.

— W kuchni.

Wprost z sypialnego poszedł do kuchni, w której zastał Rózię, młodą dziewczynę, nieładną szatynkę, na bardzo zajmującej rozmowie z kucharką i jedną z sąsiadek.

— Dlaczego nie jesteś przy dziecku? — spytał surowo.

— Poszłam po mleko dla Renusi.

— I, zamiast zaraz wrócić, rozmawiasz.

— Już idę, — porwała z płyty zimnej garnuszek z mlekiem i pobiegła do pokoju, a za nią poszedł Szabelski.

Naprózno jednak oboje zachęcali i namawiali Irenkę na mleko, odmówiła stanowczo i chciwie zajadała cukierki, jak gdyby się bała, że z ręki ucieką.

Korzystając z wolnego czasu, Szabelski wziął się do wpisywania rachunków do książki. Skończył i spojrzał na zegarek, który wskazywał pół do ósmej, a żony nie było.

Zatroskał się o nią i zaniepokoił jej nieobecnością. Może spotkało ją co złego? Może zachorowała nagle? Dzisiaj skarżyła się na ból głowy i mdłości. Zastanawiał się, gdzie mogła być Natalcia w tej chwili, gdyż zawsze zastawał ją w domu, gdy przed ósmą przychodził na kolacyę.

Pogrążony w rozmyślaniach, nie zauważył nawet, że Natalcia weszła do przedpokoju, przemknęła się przez sąsiedni jadalny pokój i dopiero obudził go jej głos:

— Kasiu, czy bigos dla pana odgrzany? Prędko, pana tylko co nie widać.

Po wydaniu tego rozporządzenia szybko wbiegła do sypialni, zdejmując w drodze kapelusz i na sekundę oniemiała, zobaczywszy siedzącego męża. Trwało to jednak bardzo krótko i zawołała radośnie:

— Ach, jesteś Fredziu! — tak spieszczała imię męża Alfred, podbiegła i ucałowała go, — jak to dobrze, że przyszedłeś wcześnie, jaki ty kochany! — całowała i głaskała jego łysinę.

On wprawdzie mile odczuwał te dowody jej rozczulenia, jednak uważał za stosowne zrobić jej wymówkę, za nieporządek i za jej nieobecność. Właśnie otworzył usta, gdy ona, uprzedzając jego słowa, zaczęła szybko:

— Wyobraź sobie Fredziu, wybiegłam na chwileczkę do krawcowej, ażeby dostać model na sukienkę dla Reniusi... Krawcowa mieszka na naszej ulicy, a chciałam modelu, wiesz, takiego z bibułki, ażeby skroić sukieneczkę dla Reniusi, bo teraz czasy ciężkie, a ty tak pracujesz dla nas bez wytchnienia. Ogromnie mi cię żal, i musisz odpocząć. Wyjedziemy razem na wieś, odetchniesz, uspokoisz swe nerwy, a wiem niestety z doświadczenia, co znaczą te obrzydłe nerwy. Wiesz, o mało co nie zemdlałam, tam u krawcowej, taki tam ścisk, gwar, bo to teraz sezon wiosenny... nie, nie wiosenny, ale letni. Wszyscy wybierają się z miasta. Czy nie zauważyłeś, jaki w mieście zaduch? Niema czem oddychać, a ty jak uważasz? Czy nie jest ci mdło? duszno?

Mówiąc to, rozbierała się szybko ze spacerowej sukni, rzucając poszczególne części ubrania, gdzie było bliżej. Na łóżko, krzesło, stolik...

— Prawda, Natalciu, dziś duszno.

— A widzisz, koniecznie musimy wyjechać. Urządzę się bardzo tanio, taniej aniżeli w Krakowie, bo na wsi mleko tańsze, masło także, a Kasia umie piec bułki... — spostrzegłszy, że mąż patrzy na łóżko, mówiła: — pewno Fredziu mnie krytykujesz za to łóżko, ale tak się spieszyłam, bo im wcześniej pójdę do krawcowej, tem prędzej można się załatwić, a im później, tem więcej osób się zastanie i trzeba czekać. Cóż, Fredziu, pojedziesz na wieś? A może doktor każe ci jechać do Krynicy, albo do Zakopanego? Musisz się poradzić u doktora. Mniejsza o mnie i o dziecko, idzie tylko o ciebie, bo co zrobiłabym, gdybyś zachorował? Na samą myśl, czuję że słabnę. Cóż, wyjedziesz Lolku?

— Hm... zobaczymy... muszę się obliczyć z pieniędzmi i z czasem.

— Ale, co znaczą pieniądze wobec twego zdrowia? A czas musi się znaleźć. No, już jestem gotowa. Chodź na kolacyę, — szli oboje do jadalnego, a ona spytała: — dawno przyszedłeś?

— Przed dobrą godziną.

— Boże, jak ten czas leci! Pewno zdziwiłeś się, nie zastawszy mnie w domu?

— No, tak, — usiadł za stołem, — i wiesz, płacz Reniusi słyszałem na schodach. Dochodzę, dziecko same, płacze, całe sine...

— Ach, to okropne! I jaka to niesumienność tej podłej Rózi! Muszę ją nakrzyczeć.

— Daj spokój, Natalciu, — uspokajał, ale Natalcia już była w drzwiach kuchni i krzyczała:

— Dlaczego zostawiłaś dziecko same? Czy nie mówiłam ci, małpo jakaś, ażebyś dziecka nie odstępowała? Otóż to sumienność twoja! Pewno suszyłaś zęby do jakiegoś chłopa! Taka młoda jesteś, a już tak zepsuta! A gdzie sumienie? Gdzie obowiązek? Zgrzeszyłaś wobec Pana Boga i za karę jutro nie pójdziesz na majowe nabożeństwo.

Zatrzasnęła drzwi od kuchni, aż mała Irenka obudziła się w łóżeczku, zerwała się z pościeli i patrzała wesołemi oczkami.

— Śpij dzieciątko! Śpij! — uspokajała matka.

— Nie chcę! Ja do tatusia!

— Widzisz, Fredziu, jak ją rozpieściłeś! No, śpij, Reniusiu! Pójdziesz jutro z mamusią na spacer.

— Nie chcę... do tatusia!

Wstał od stołu, a zbliżywszy się do dziecka, spytał rozczulony:

— Czego chcesz, Reniusiu?

— Cukierka.

Miał wprawdzie lekkie poczucie, że postępuje niewłaściwie, ale wyjął cukierki ze szuflady i dał dziecku, które się spokojnie ułożyło.

Natalcia, oddychając głęboko, siadła przy stole, a mąż zapraszał:

— Zjedz bigosu... a może piwa?

— Nie mogę, — westchnęła, — tak się zirytowałam na tę szelmę Rózię. Proszę cię, jestem po prostu niewolnicą w domu, nie mogę na nią się spuścić w niczem. I gdzie ona była?

— Zastałem ją w kuchni, gadały.

— No, widzisz ty? Ta Kasia, niby to poważna, starsza kobieta i nie zwróciła uwagi tej Rózi, że dziecko samo. I na kogo tu liczyć, gdy żadna z nich nie ma poczucia obowiązku! Sama nie wiem, co robić?

— Odpraw Rózię.

— I znajdę gorszą, — uśmiechnęła się ironicznie, — one wszystkie do niczego, a ta Rózia nie latawiec i brzydka, więc nie ma kawalerów. Wolę już ją, aniżeli inną.

Szabelski, jakkolwiek lichy obserwator, zauważył, że żona ma gorset na sobie i spytał:

— Czy wychodzisz dzisiaj?

— Nie! Dlaczego pytasz?

— Bo masz gorset.

— A tak... przypuszczam, że przyjdzie Romcia i może ją odprowadzę, bo ona boi się wracać sama wieczorem.

— A ty?

— O, ja nie! Co mi się może stać? Zaczepi mnie który, odpalę i koniec.

— No, gdybym ja zobaczył, że ktoś śmie ciebie zaczepić, porachowałbym mu kości, bo i jak to można przyczepiać się do porządnej mężatki? Żona to rzecz święta i innym wara!

— Mnie też nikt jeszcze się nie narzucał.

— Wiem o tem! — skinął poważnie głową, — i za to cię cenię. Inne to mają przy sobie brukotłuków... mówiono coś o Orszyckiej i Marskim, ale nie ty.

— Ja nie zniosłabym tego, dla mnie ty tylko jeden na świecie, a inni prawie że nie istnieją. Wiesz, ten Niedzicki, panny zazdroszczą, że bywa u nas, a ja nie wiem nawet, jakie ma oczy, albo włosy.

— Ach, Niedzicki! — uśmiechnął się drwiąco, — taka baryłka nie jest niebezpieczna, z tym możesz chodzić, ile chcesz, wiem, jak go nie lubisz i lekceważysz... Dawno byłaś u Wineckiej?

— Onegdaj... Ona taka samotna.

— To prawda... ten Winecki zaniedbuje ją, nie dziwiłbym się, gdyby mu przypięła rogi, zasłużył na to.

— O, ona nie taka! — zaprzeczyła żywo, — nie byłaby moją przyjaciółką, gdyby męża zdradziła.

— A wiesz, Natalciu, — mówił z uśmiechem, — jednak coś tam jest, bo słyszałem coś o Bachmackim.

— Co ty mówisz? Gdzie? Kto? — zawołała zaciekawiona.

— Mówiono u nas, ale tak, delikatnie, że kręci się koło niej Bachmacki.

— Plotki. Nie przeczę, że bywa... może nawet ona mu się spodobała, ale od podobania do romansu daleko.

— Ee... Natalciu, pocoby taki Bachmacki bywał, nadskakiwał jej, gdyby nie miał jakichś zamiarów nieczystych?... Naturalnie, ten Winecki, jak każdy mąż, jest ślepy i ufa swej żonie, ale ja na jego miejscu miałbym się bardzo na ostrożności.

— Wy wszyscy jesteście nieznośni, — zrobiła zagniewaną minkę, — zaraz węszycie romanse, zdradę, bo wy sami zawsze jesteście skorzy do zdradzania nas na każdym kroku. Co do mnie, podobał mi się Winecki, że tak ufa i wierzy żonie.

— Ty jednak jesteś szlachetna kobieta, — powiedział z uznaniem.

— Tak? Dlaczego tak mówisz?

— Bo widzisz, kiedy ja mówiłem, że twoje stroje bardzo mało mnie kosztują, pierwszy Winecki zaczął kpinkować i powiedział, że ja nie wiem i o połowie twych wydatków.

— A jemu co do mnie!? — oburzyła się szczerze, — czy mam chodzić, jak jego żona, w czupiradle? w takim strachu na wróble?! Czy widziałeś jej kapelusz?

— Nie zauważyłem.

— Ach, bo ty oczu nie masz, ale powiadam ci, straszydło niemodne, przerabiane w domu, bez smaku. Albo jej bluzki? Teraz każda szanująca się kobieta nosi kimono, szerokie w rękawie górnym, wygodne, przewiewne, a ona zawsze ma obcisłe rękawy, natomiast spódnicę szeroką! I gdyby nie to, że ona jest moją przyjaciółką, wstydziłabym z nią pokazać, to wygląda na pokojówkę, noszącą suknie zeszłoroczne swej pani. A ty co mu powiedziałeś na to jego głupie gadanie o mnie?

— Naturalnie zekpałem go, bo przecież sam prowadzę rachunki i mam czarne na białem, ile kosztują twoje suknie i różne gałganki. Zresztą wiem, że sama wszystko robisz w domu, przemyślnie i tanio.

— A inni co na to? — patrzała niespokojnie na zegar.

— Inni?... Wiesz, Winecki poszedł pierwszy do domu, zaniepokoił się, słysząc o Marskim i Orszyckiej i dopiero dowiedziałem się o Bachmackim.

— Wierz mi, Fredziu, że co do Bachmackiego, to plotki... a nie spóźnisz się? Idzie mi o to, ażebyś wcześnie wrócił, bo wiem, że po bigosie musisz iść na piwo.

— Jak ty jednak o mnie pamiętasz, — rzekł rozczulony, — idę już, — spojrzał na zegarek, — spóźnię się o pięć minut.

Na pożegnanie ucałowała go serdecznie i zawołała swobodnie za odchodzącym:

— Baw się wesoło, a o swej żonusi dobrze mów!

Mąż schodząc po schodach, chrząknął z wielkiego zadowolenia i szepnął rozczulony:

— Złoto, nie kobieta!

Nasunęło mu się mimowolne porównanie własnej żony z żonami przyjaciół i znajomych. Żaden z nich nie posiada żony tak kochającej, dbającej o męża, o dziecko, tak oszczędnej, a jednak tak zawsze dobrze ubranej, jak właśnie on, Szabelski.

Na ulicy wyprostował swój zazwyczaj zgięty od siedzenia kark, powiódł okiem dumnie dokoła, w tem radosnem przekonaniu, że na tysiąc mężów Pan Bóg jemu jednemu dał doskonałą żonę i takie spokojne, szczęśliwe pożycie małżeńskie.

I nie, żeby umniejszać wielkość doznanej łaski z ręki Pana Boga, ale przez poczucie sprawiedliwości, uznawał, że jestto słuszna nagroda za jego pracę, staranność, no i za przecierpiane lata pożycia ze świętej pamięci pierwszą żoną.

Prawda, że w posagu wniosła mu protekcyę, trochę grosza i meble, ale też była wymagająca i przykra. Siadywała w sklepie, kontrolowała wydatki, a on był poprostu przypięty do spodnicy. Wszędzie była z nim, a na bombkę piwa musiał się przed nią wykłamywać i wykręcać, jak żak przed surowym nauczycielem.

Przypomniawszy sobie te dwanaście lat małżeńskich, zgiął się znów i z obrzydzeniem splunął, gdy wspomniał, ile to ziarnek spalonej kawy zgryzł i połknął, ażeby wróciwszy do żony, przy kontroli nie było mu czuć z ust piwa lub wódki.

Ta jest zupełnie inna, dobra jak anioł, i sama wyprawia go wieczorami na piwo. Poczuł też pewne wyrzuty sumienia, co prawda bardzo lekkie, ze swą kochaną żonusię zostawia samą w domu. Obiecał też sobie uroczyście, że już napewno jutro nie pójdzie na piwo, ale poprowadzi żonę do teatru, zresztą do kino, bo przecież i żona potrzebuje zabawy i rozrywki.

Postanowiwszy to, uprzytomnił sobie, jakie wrażenie zrobi jego nieobecność na towarzyszach wspólnego stołu. I tak uważają go, zupełnie niesłusznie, za zbyt uległego żonie, i dopiero zaczną się drwiny i kpiny! Natalcia przecież sama nie chciałaby napewno, ażeby on z powodu jej przyjemnego wieczoru doznał tak wielkiej przykrości od przyjaciół i znajomych, o wiele właściwszem będzie, gdy da jej pieniądze na wstęp, i ona pójdzie wieczorem zabawić się w towarzystwie którejś z przyjaciółek.

Trzeba przyznać, że pan Szabelski tego rodzaju wyrzuty i postanowienia poprawy miewał dwa lub trzy razy na tydzień wieczorem, gdy szedł na piwo, ale gdy wrócił do domu, przespał się, zajęcia codzienne tak go pochłaniały, że często zapominał o swem postanowieniu. Wspominał wprawdzie żonie, że radby z nią pójść kiedy razem wieczorem, Natalcia jednak była tak dobra i wyrozumiała, że czas urzeczywistnienia projektu odkładała do sposobniejszej chwili, i wszystko zostawało po dawnemu.

Co też Natalcia robi teraz? — rozmyślał rozczulony, zbliżając się do restauracyi, w której pijał piwo, — pewno szyje coś, naprawia i czuwa nad dzieckiem. I dając folgę wezbranemu uczuciu dla żony, kupił w sklepie cukierków dla niej.

Tymczasem Natalcia, po wyjściu męża, kazała szybko uprzątnąć ślady kolacyi ze stołu, a sama zaczęła się ubierać gorączkowo w świeżą i nową suknię, spoglądając niespokojnie na zegar ścienny, wskazujący pół do ósmej. Dopiero włożyła spodnicę i przygotowywała stanik, gdy u drzwi wejściowych odezwało się dyskretne pukanie w trzech miarowych odstępach. Był to znak umówiony odwiedzin pana Niedzickiego. Natalcia z odkrytemi ramionami, tylko w gorsecie, podbiegła do drzwi i nie otwierając powiedziała:

— Za chwilę... jestem nieubrana.

— Nie szkodzi, będę ślepy i głuchy, — odpowiedział wesoło i nacisnął klamkę.

— Nie! Nie można!

— Pani Natalciu, ludzie idą po schodach, co sobie pomyślą, gdy mnie obaczą dobijającego się do drzwi? To panią Natalcię skompromituje, jak Bozię kocham. Prędzej!... Otwórz!

— Ach, Boże! Co zrobię? A nie wejdzie pan, póki nie powiem: można!?



...Zobaczył Irenkę zanoszącą się od płaczu, siną z krzyku.

— Nie! Przysięgam! — zaśmiał się.

Odsunęła zatrzask, lecz zanim zdążyła skryć się w drugim pokoju, już wbiegł Niedzicki, dopadł ją, objął w pół i ucałował nagie jej ramiona.

— Ach! Co pan robi? — krzyknęła, wyrywając mu się z rąk.

— Dziecko się zbudzi! — całował dalej, — służba posłyszy!

— Nie! Nie chcę! — odtrąciła go i wyrwawszy się z objęć, pobiegła przez jadalny pokój do sypialnego.

On skoczył, ażeby ją pochwycić, gdy nagle drzwi od kuchni otworzyły się i weszła Rózia. Po szerokich jej ustach przemknął się uśmiech zadowolonej złośliwości, ale natychmiast przybrała wyraz naiwnie bezmyślny i z obojętnością chowała przyniesione talerze do kredensu.

Niedzicki przez chwilkę stał jak wrośnięty w ziemię; Natalcia zniknęła w sypialnym pokoju i mówiła spokojnie:

— Za chwilę będę gotowa... może pan zaczeka... Róziu! Przynieś wody do rąk!

— Zaraz, proszę pani, — wyszła z pokoju.

Gdy wróciła z dzbankiem, pani kazała jej posprzątać w sypialnym, sama zaś, już ubrana, wyszła do Niedzickiego i zaczęła tonem ceremonialnym:

— Dobry wieczór panu!... Niech pan siada... Przepraszam, że dałam czekać tak długo, ale byłam nieubrana.

— To ja przepraszam, że wszedłem w porze niewłaściwej... Sądziłem, że zastanę pana Szabelskiego... miałem do niego ważny interes, — dobrze grał rolę narzuconą mu przez okoliczności, — czy dawno wyszedł mąż pani?

— Przed chwilą... myślałam, że wrócił i dlatego niezupełnie ubrana otworzyłam drzwi panu, — mówiła głośniej, ażeby Rózia posłyszała.

— Gdzie zastanę męża pani? Czy nie mówił pani?... Uprzedziłem go, że przyjdę.

— O, mój mąż bardzo przykładny, — zaśmiała się, — i zawsze wiem, gdzie idzie. Dziś wieczorem mamy się spotkać, — spojrzała na zegar i dokończyła, — o pół do dziewiątej.

— To wkrótce... pozwoli pani, że będę jej towarzyszył?

— Dobrze... Róziu, podaj mi lekki płaszczyk... wychodzę... dopilnuj dziecka.

— Dobrze, proszę pani, — przyniosła płaszczyk i położyła na krześle.

Wyszli oboje, a na schodach rzekł Niedzicki z uśmiechem uznania:

— Ależ z pani doskonała artystka!

— Ja? — mówiła zdziwiona, — nic nie wiem o tem.

— A ta rozmowa nasza przy Rózi? — śmiał się.

— Jakto? Czy pan mi nie wierzy, że otworzyłam przypadkiem? Czy byłam ubrana? Ja zawsze prawdę mówię i prawdą żyję, — kończyła niemal obrażona.

On zrozumiał grę i natychmiast się zastosował:

— Przepraszam, — rzekł tonem skruchy, — tak mi się zdawało przez chwilę.

— Niechże się panu na przyszłość nie zdaje, — upomniała go sucho, i natychmiast zaczęła wesoło: — cóż robimy z wieczorem? Nie uwierzy pan, ja lubię wyjść tak inkognito z domu i trochę się polumpować.

— Ba, gdyby pani się lumpowała porządnie, — zaśmiał się, — ale w pani siedzi zawsze cnotliwa i trwożliwa burżujka.

— O, co to, to nie! Jestem wolna i samodzielna, drwię z przesądów.

— No, tak! Tak! — uśmiechnął się, — a dziś wieczorem, kto mnie odepchnął? Myślałem, że rękę mam złamaną. I było za co? Co ja gorszego od pana Szabelskiego?

— On jest mój mąż.

— A więc pani jest jego własnością, niewolnicą, gdzież ta swoboda?

— To co innego... nie lubię kradzionych całusów.

— I ja tak samo, zróbmy tedy umowę. Ja nabywam prawo własności, ile pani żąda? Przystaję z góry na warunki.

— A ja nie sprzedaję, — zaśmiała się, — nigdy nie słyszałam o czemś podobnem.

— Człowiek uczy się do końca życia, — powiedział sentencyonalnie, — i cieszy mnie, że pani dowiedziała się odemnie o czemś nowem. Ile pani chce za całus?

— Dajże pan pokój... ludzie się oglądają za nami... uważaj pan, — szybko badała oczyma niezbyt jasno oświetloną ulicę i przechodniów.

— Wszyscy mi zazdroszczą pięknej towarzyszki, — zaśmiał się.

— Także coś! — udała niewierzącą, — po nocy nikt nie widzi rysów twarzy.

— Ale widzą, widzą, i zachwycają się kapelusikiem, figurą, pięknym chodem, strojną suknią.

— O, to już nieprawda! — zaśmiała się, — bo płaszczyk zakrywa suknię.

— Co zakryte i zakazane, to najbardziej nęci, — mierzył namiętnemi oczyma jej postać, — a więc i suknia zakryta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z pedagogii przem.-technicznej.

Koniec roku szkolnego to okres popisów i wystaw szkolnych. Każda ze szkół rada pochwalić się swym rocznym dorobkiem, a wiele z nich ma istotnie czem, wykazując rzetelną pracę nad doskonaleniem uczniów i nierzadko wybitne zdolności tych ostatnich. Do takich właśnie należy warszawska szkoła techniczno-przemysłowa, prowadzona celowo przez p. W. Piotrowskiego. Z bogatym i interesującym dorobkiem wystąpiły wszystkie wydziały od przygotowawczego. Rysunki uczniów tego ostatniego stwierdzają, że w nim położony jest nacisk na rozwijanie w uczniach zdolności twórczych i wyrabianie pomysłów samodzielnych. Słuchacze wydziału budowlanego, który istnieje dopiero dwa lata, poza mnóstwem drobnych wyrobów z zakresu stolarstwa, ciesielstwa, tokarstwa, przygotowali kilka modeli z architektury. Najliczniej reprezentowany jest wydział mechaniczny. Wystawiono tam prace z zakresu kowalstwa, ślusarstwa, montowania, formowania, modelarstwa i t. p.

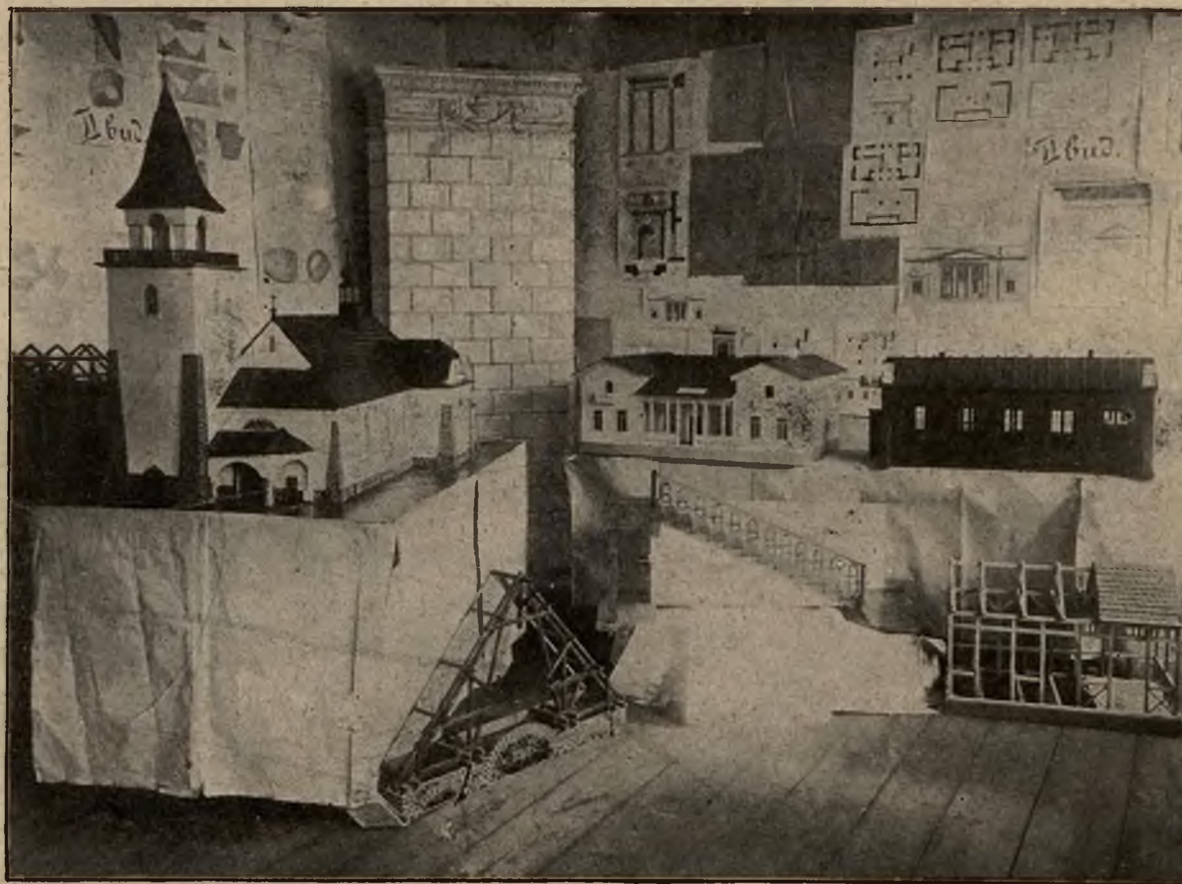
Całość wystawy czyni wrażenie dodatnie. Podajemy z niej jeden z fragmentów oraz grupę uczniów z profesorami.

Szkoła tramwajarzy warszawskich.

W tych dniach odbył się popis szkoły pracowników tramwajów warszawskich, prowadzonej przez p. Szalayową. Popisy oddziałów wykazały chlubne postępy dzieci, śpiewy, deklamacye i gry ruchowe wypadły wdzięcznie i poprawnie. Co do deklamacyj, niektóre były wypowiedziane znakomicie, jak „Zła matka“ B. Ostrowskiej i „Czego chcesz od nas Panie“ J. Kochanowskiego. Bardzo dobrze przedstawiły się również gry ruchowe. Zakończyły popisy krakowiaki i odśpiewanie chóralne „Hej, wakacye!“. Nasza illustracya przedstawia grupę dziatwy, biorącej udział w popisie.

Wystawa motorów we Lwowie.

Przemysłu współczesnego niepodobna sobie wyobrazić bez silników „sztucznych“. Nawet w krajach najbardziej zacofanych, siły „naturalne“ — ludzka, zwierzęca, wiatru, wreszcie nawet wody — nie wykonałyby nawet w dziesiątej części pracy, którą zużywa przemysł. Nawet zresztą aby zużytkować dwie ostatnie siły naturalne, wietrzną i wodną, potrzebne są motory. To też maszyny wytwarzające siłę za pomocą ciepła czy elektryczności, motory, grają coraz ważniejszą rolę w życiu gospodarczem każdego kraju. I Galicya, choć zwolna, ale uprzemysławiająca się, używa coraz więcej motorów. Wobec tego spore zainteresowanie wzbudziła świeżo otwarta we Lwowie wystawa motorów różnych systemów i konstrukcyi. Wziął w niej udział szereg firm krajowych, oraz austryackich i niemieckich. Wystawa swym wyglądem może wzbudzić zaciekawienie nietylko specyalisty, ale i zwykłego śmiertelnika, a chcącemu się zaopatrzyć w jaki motor daje możność dobrego wyboru.



Z pedagogii przem.-technicznej: Wystawa prac uczniów w szkole techniczno-przem. W. Piotrowskiego w Warszawie.



Z pedagogii przem.-technicznej: Kierownicy wystawy w szkole techniczno-przemysłowej W. Piotrowskiego w Warszawie.



Szkoła tramwajarzy warszawskich: Dziatwa uczestnicząca w popisie.



Wystawa motorów we Lwowie: Uroczystość otwarcia. (Fot. M. Münz, Lwów).

Kolej przez Saharę.

Francuzi, chcąc ugruntować swoje panowanie nad dawniej i świeżo zdobytemi posiadłościami afrykańskiemi, muszą je przedewszystkiem choć zewnętrznie ucywilizować. Pierwszym krokiem na tej drodze jest zaprowadzenie nowoczesnych środków komunikacyi. W Algierze Francuzi mają już kilka linij kolejowych, obecnie muszą je przedłużyć w głąb kraju, aby módz przynajmniej szybko przerzucać swoje wojska w miejsca zagrożone. W tym też



Kolej przez Saharę: Pierwszy pociąg na stacyi w Tuggurt.

celu przedewszystkiem strategicznym, rozpoczęli oni w ostatnich dwóch latach i w części przeprowadzili kilka linij przez Marokko i z Algieru na południe w głąb piaszczystej pustyni saharskiej. Jedną z takich linij jest w ostatnich dniach ukończona linia z oazy i miasta Biskra aż do Tuggurt i dalej do Quargla na Saharze. Otwarto ją z wielką uroczystością. Był przy tem obecny sam minister wojny. Tubylcy wyszli na spotkanie pierwszego pociągu z chorągwiami i starszyzną na czele. Oczywiście było to w części wymuszone, ale i bez przymusu w oczach tych dzieci pustyni „djabelski wóz", pędzący własną siłą i ogniem ziejący, symbolizuje, i słusznie, całą potęgę cywilizacyi, która nową erę na czarnym kontynencie zaczyna — erę, która może jest początkiem końca ich biednego, ale swobodnego dotychczasowego bytowania.

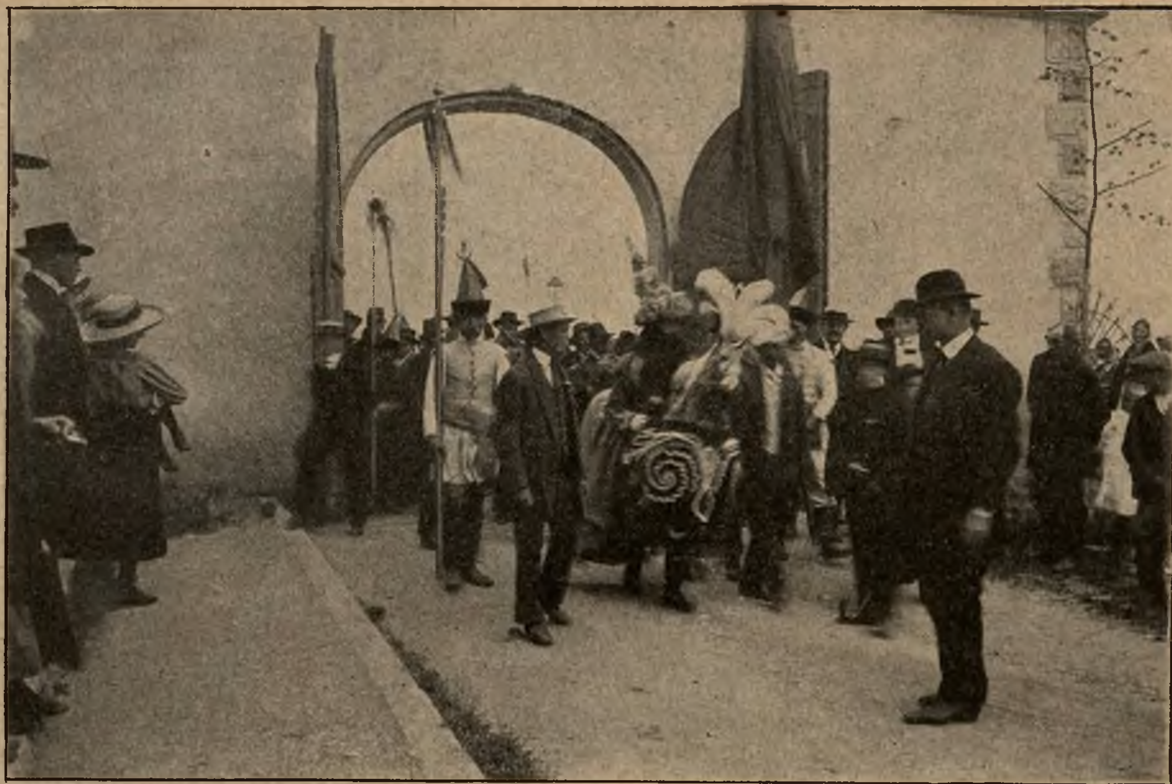


Rewolucyjny strejk we Włoszech: Demonstracya dwudziestotysięcznego tłumu w Medyolanie.

Konik zwierzyniecki.

Tradycyjnym zwyczajem po procesyi w oktawę Bożego Ciała hasał po Rynku krakowskim „aga“ tatarski, w otoczeniu janczarów i t. p. Zwyczaj ten podobno na pamiątkę napadu Tatarów corocznie obchodzony, należy do najbardziej lubianych i popularnych obchodów ludowych Krakowa a harce jego i walki z tłumami zaliczają się do emocyj koniecznych dla każdego Krakowianina. Być Krakowiakiem a nie dostać nigdy pałką „Lajkonika“ jest nieładnie i... niepatryotycznie, to też starają się o to, jak mogą mieszkańcy naszego miasta. Im większy ścisk, tam silniej skupiają się ludzie — tam więcej zabawy — gdy wpadnie w tą masę czarnobrody „Tatar“, rodem ze Zwierzyńca i bije bez względu na wiek, płeć i... miejsce odsłonięte, nierzadko ofiarą nieubłaganej pałki padnie najmodniejszy kapelusz damski, ale to czyni tem większą radość posiadaczki, ochrzczonej w ten sposób na prawdziwą Krakowiankę.

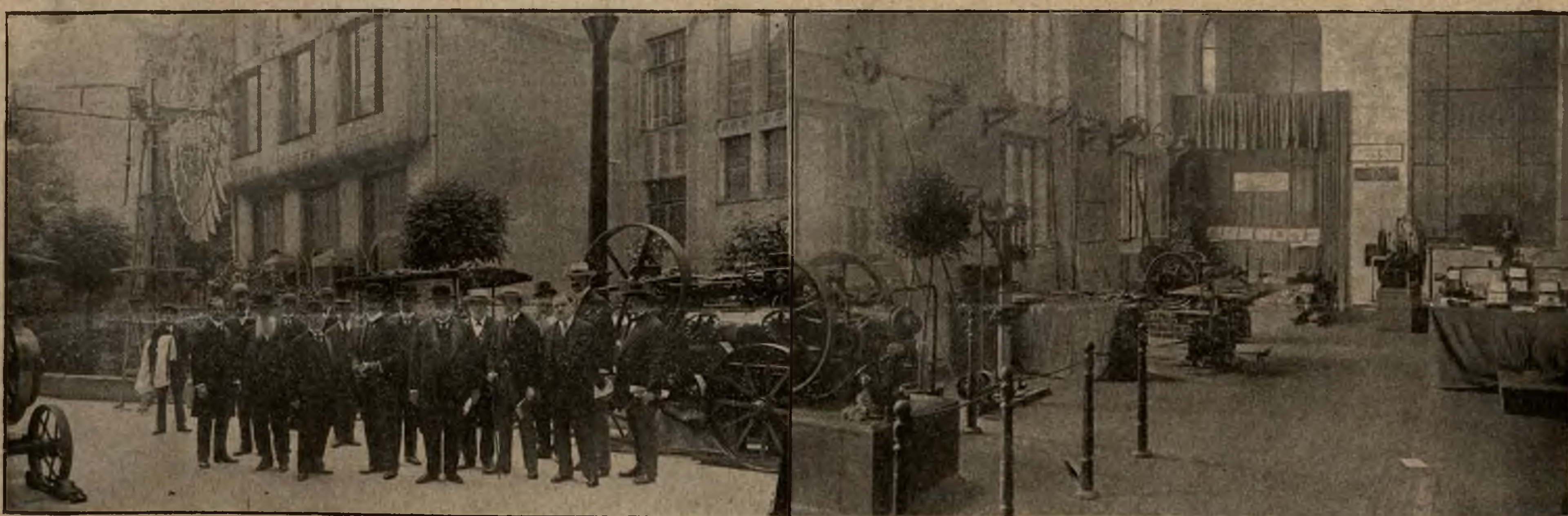
Godność „Lajkonika“ w jednej rodzinie od lat spoczywa, podobno są nawet z rzeczywistymi spokrewnieni Tatarami — jadają befsztyki tatarskie z musztardą krymską — a temperament ich przechodzi podobno, jak twierdzą piękności zwierzynieckie najdzikszych chanów. Podajemy illustracye z tego corocznego święta tatarsko-krakowskiego.



Konik zwierzyniecki: Lajkonik pod bramą klasztoru P. P Norbertanek w Krakowie.

Sufrażystki tureckie.

„Gdzie tych niema?!“ — wykrzyknie zdumiony czytelnik. Istotnie — gdzie ich niema? W Turcyi tylko pierwsze hasła emancypacyi przeniknęły do państwa Sułtanów, gdy tylko prądy postępowe umożliwiły jaką taką ich realizacyę — odważniejsze jest, szerzy ożywioną działalność. Działalność ta musi się narazie ograniczyć do propagandy, „czyny“ bowiem „angielskie“ narazie są niemożliwe — a że



Wystawa motorów we Lwowie: Fragmenty wystawy. (Fot. M Münz, Lwów).

muszą być tembardziej, ileże płeć piękna a słaba podlegała tam przez wieki całe, a i jeszcze podlega, sroższemu niż gdzieindziej uciskowi. Więc też gdy mieszkanki haremów żarliwie rzuciły się do walki o równouprawnienie swej płci. Oczywiście wiele takich bojowniczek tam niema, ale ta grupa, która najpotężniejszym orężem propagandy jest prasa, więc feministki tureckie przystąpiły niedawno do wydawania własnego organu.

Nasze zdjęcie przedstawia te pierwsze dziennikarki zarazem i sufrażystki tureckie.



Tureckie sufrażystki: Redaktorki pierwszego feministycznego organu w Turcyi.

Kurs kucia koni.

Na każdem polu oddalamy się coraz bardziej od „gospodarki naturalnej“, czyli od roboty niefachowej. Niema bowiem takiego zawodu, nawet takiej gałęzi jakiegoś z pozoru najprostszego zawodu, który nie wymagałby pewnej sumy specyalnych wiadomości. Uzbrojony w nie rzemieślnik ma zawsze przewagę nad partaczem „z bożej łaski“. Tak więc i kowalstwo, nietylko całe, ale jego dział kucia koni wyspecyalizował się. Wymaga on bowiem, obok znajomości kowalstwa, znajomości całej budowy konia, specyalnie jego nogi. Te wiadomości wchodzą już w zakres weterynaryi, toteż corocznie przy Akademii weterynaryjnej odbywa się 6-tygodniowy kurs kucia koni, na którym kilkudziesięciu przeważnie młodych kowali nabywa potrzebnych wiadomości i specyalizuje się w tej gałęzi.

W interesie polskiego handlu.

W miarę, jak każdy zawód stara się o to, by nabyć jak najwięcej wykształcenia teoretycznego, które tak doniosłe ma potem znaczenie w życiu praktycznem, powstają coraz to nowe szkoły zawodowe. Jedną z najstarszych i najpoważniejszych jest



Kurs kucia koni: Grupa kierowników i uczestników kursu, urządzonego w Akademii weterynaryjnej we Lwowie.



Z piekła meksykańskiego: Strzelcy Stanów Zjednoczonych na linii bojowej w Vera Cruz.

krakowska Szkoła handlowa, przeznaczona dla młodzieży kupieckiej.

Istnieje ona już przeszło trzydzieści lat i zapisała się chlubnie w dziejach naszego szkolnictwa. Założona pierwotnie wspólnemi siłami gminy miasta Krakowa i kongregacyi kupieckiej, z czasem weszła w skład Akademii handlowej i pozostaje pod jej kierownictwem.

Uczniowie, przed wypisaniem na pomocników handlowych, obowiązani są do ukończenia trzyletniego kursu uzupełniającego, na którym nabywają potrzebnych im wiadomości teoretycznych. Niestety, nie wszyscy nasi kupcy chcą zrozumieć doniosłość tego zarządzenia, frekwencya też w szkole jest jeszcze dość słabą, miejmy jednak nadzieję, że się to z czasem poprawi.

Corocznie przecież opuszcza zakład spora liczba wychowanków, którzy kiedyś mają wysoko podnieść sztandar naszego kupiectwa.



Z piekła meksykańskiego: Powstańcy meksykańscy przewożą zwłoki poległych po zdobyciu Tampico

Illustracya zamieszczona w niniejszym numerze przedstawia grupę profesorów Szkoły handlowej i uczniów, którzy ukończyli trzeci kurs.

Z piekła meksykańskiego.

Wojnę między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi przygłuszyły chwilowo inne sensacye, ale mimo to nie straciła ona na swej wadze. Chwilowo przycichły walki, niebezpieczeństwo jednak ponownego ich wybuchu nie zostało bynajmniej zupełnie usunięte. Wojska Stanów zajmują dalej niektóre miasta meksykańskie, flota wojenna stoi u wybrzeży — a z drugiej strony między samemi Meksykanami wre bezustannie wojna domowa. Piękny kraj przeobraził się w prawdziwe piekło — coraz to inni generałowie czują w sobie powołanie do rządzenia, a ponieważ stoją na czele zbrojnych band, więc ludność spokojna straszliwie odczuwa na sobie ciężar tych militarnych ambicyj. Z którejkolwiek spojrzeć nań strony stan Meksyku nie przedstawia się różowo; teraźniejszość to chaos, przyszłość — może burza klęsk. Słusznie więc piekłem można ten kraj nazwać teraz, albowiem nie pozostawia on mieszkańcom nawet nadziei poprawy stosunków.



Zjazd koleżeński: Abituryentki seminaryum nauczycielskiego w Przemyślu na bankiecie „jubileuszowym“.



W interesie polskiego handlu: Profesorowie krakowskiej szkoły handlowej i uczniowie III kursu.

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

30

— Nie chcę, rozumiesz, nie chcę ich dotykać — zawołał rozdrażniony. Bo cokolwiek uczyniłoby się w tym kierunku, dotknęłoby boleśnie mojego syna! A tego nie chcę! za żadne skarby świata! To byłby dla mnie koniec wszystkiego! Zguba i zatracenie najdroższych moich ambicyj i marzeń!

Księżna Sahadża roześmiała się ironicznie.

— Dlaczego więc nie chcesz uledz kapryşowi tego chłopaka? Bo cóż żądają właściwie od ciebie? Niewielkiej rzeczy! — Chcą, aby panna Lusia Morel, córka fabrykanta podrabianych obrazów, siostrzenica człowieka, skazanego na dożywotnie galery — stała się żoną pana Stanisława Gewolskiego, jedynego spadkobiercy sławnego uczonego — i doradcy księcia Kiwani, przyszłego dyplomaty! No, możesz być pewny, mój drogi, że po otrzymaniu od ciebie zezwolenia na to dobrane małżeństwo, pozostawią cię łaskawie w spokoju! pod warunkiem jednak, że pozostawisz portfel dobrze nabity, fajkę i prowizyę obfitą wódki twojemu staremu towarzyszowi, Piotrowi Moreau! Zaręczam ci, że potem całą tę tragiczną dziś dla ciebie sprawę w żart obróci!

Ale taka perspektywa podniecała tylko wściekłość i gniew Gewolskiego, jego ambicyę i dumę! Jednak jeszcze nie dostatecznie, aby wyrzekł słowo decydujące! Księżna Sahadża zaś lękała się działać na swoją rękę, nie będąc pewna, w razie niebezpieczeństwa, solidarności swojego kochanka, na którego starość deprymująco działać poczynała.

— — — — — — — — — — — — — —

I spokój największy i harmonia panowała niepodzielnie w pałacach księcia Kiwani, jak również i w kraju, gdzie rząd angielski obawiał się spotkać agitacyę rewolucyjną. Czyżby sama obecność władcy tak korzystnie podziałała na wzburzoną ludność? Albo też może przywódcy ruchu zostali niemile zaskoczeni wiadomością, że w pałacu znajduje się sławny detektyw Wiliam Perkins, ze swoim towarzyszem Johnniem i że obaj zaprzysięgli, że nie opuszczą Indyj, aż pochwycą w swoje ręce fakirów, Falika i Sandrala? A przytem rozeszła się pogłoska, że w razie najlżejszego zamachu na wolność i życie angielskich detektywów — co będzie równocześnie zaczątkiem surowych represyi ze strony rządu — książę Kiwani nie myśli pospieszyć z pomocą zbuntowanym.

Jednym z ostatnich czynów rewolucyjnych Hindusów, było zamordowanie w Londynie jednego ze znanych profesorów, który dążył do zjednoczenia młodzieży indyjskiej z Anglią. Profesor ten został zamordowany przez swojego ulubionego ucznia, którego stracono natychmiast. Był to przykład zbawienny. Znaczna część Hindusów, między którymi znajdowali się przemysłowcy, w części z przekonania, w części z ostrożności, zdeklarowali się ostentacyjnie jako zwolennicy rządu angielskiego.

Jednakże Anglia nie łudziła się co do tego objawu sympatyi i chwilowego spokoju, który wydawał się być tylko pozornym. Nagle obiegła wiadomość, że lord Cateley, który podróżował incognito na jednym z parowców angielskich, wylądował w Kalkucie, wysłany dla dokonania ważnej jakiejś misyi, co do której nie posiadano bliższych szczegółów. Powtarzano tylko, co niegdyś podały dzienniki, że lord Cateley byłby wybranym na wicekróla Indyi w zastępstwie lorda Carleigha, gdyby tylko był tego zaszczytu zapragnął. Lecz godność ta nie odpowiadała ognistemu temperamentowi słynnego podróżnika, bo zmusiłaby go do osiedlenia się w kraju.

O ile przyuszczano, misya lorda Cateley polegała na zbadaniu stosunków panujących w Indyach i sprawdzeniu, ile prawdy było w doniesieniach przeciw rewolucyonistom.

Pierwszym krajem, jaki miał zwiedzić lord Cateley, był Kiwani. Wiadomość o zdrowiu lorda była zadowalająca; chory czuł się już coraz lepiej w chwili wyjazdu z Paryża do Cateley-House, gdzie według orzeczenia Gewolskiego powinien był zatrzymać się dla wypoczynku kilka miesięcy.

Lecz lord Cateley zabawił tylko tydzień w swojem rodzinnem zamczysku i w tajemnicy udał się do Portsmouth, gdzie wsiadł na okręt w celu odbycia dalszej podróży. Przyjazd lorda Cateley do Indyi był tematem długotrwałych obrad księcia Kiwani i jego ministrów, których świadkiem z woli księcia był doktór Gewolski. Tenże bowiem mógł znać najlepiej charakter i temperament byłego pacyenta. Przy ministrach wyrażał się Gewolski o lordzie z całem uznaniem, wynosząc jego umysł bystry i obserwacyjny. Lecz gdy pozostał sam tylko w obecności księcia, nie taił swojego niepokoju, bo przewidywał, że lorda Cateley do Indyi sprowadza nie tylko misya natury politycznej. Bo może lord przybywał tutaj jako mściciel i wróg nieprzejednany! A walka z człowiekiem takiej potęgi i siły nie mogła należeć do łatwych.

— Jeżeli domyśla się o naszych zamiarach zamordowania go — szeptał poruszony Gewolski — jesteśmy zgubieni!

Książę długą chwilę milczał zamyślony.

— Czy nie odebrałeś jakich wiadomości o tym Piotrze Moreau? — zapytał w końcu.

Gewolski potrząsnął głową. Pytanie księcia tak go zaskoczyło w pierwszej chwili, że nie był wstanie głosu wydobyć ze ściśniętego gardła. Położenie Gewolskiego nie było do pozazdroszczenia! W niebezpieczeństwie, jakie im groziło obydwom — on zdradził księcia — a takiej rzeczy człowiek taki jak książę Kiwani nigdy nie daruje.

— Czy utrzymujesz ciągle korespondencyę z profesorem Dubreuil, doktorze? — zapytał jeszcze książę.

— Tak jest — i mam nadzieję, że nie zostanie przerwaną, chodź dotąd otrzymałem tylko jedną odpowiedź na moje listy!

— I cóż ci donosi?

— Że nigdzie nie słyszano nic o tym szczególnym człowieku. Najprawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że lord Cateley musiał go sowicie opłacić i ułatwić możność zniknięcia z Europy.

— Nie chce się mi w to wierzyć — odparł książę, potrząsając głową. Każdą sprawę należy rozpatrzeć logicznie, a nie z punktu osobistego pragnienia. Jest to elementarna mądrość, zapamiętaj to sobie, mój drogi! Bez współudziału tego człowieka, lord Cateley nie żyłby obecnie, kto wie więc, czy z wdzięczności nie uczynił go swoim towarzyszem podróży.

Śmiertelny pot pokrył pobladłą twarz Gewolskiego. Jego zmięszanie było tak widoczne, że zwróciło uwagę księcia.

— Oh! mój kochany, widzę, że ta myśl ci się nie podoba! Ale trudno, trzeba umieć śmiało stawić czoło niebezpieczeństwu. Przypuszczenie moje jest zupełnie naturalne. Lord Cateley przywiązał swego wybawcę do swojej osoby, czy to może cię dziwić!? Tego, co prawda, nie mówią w depeszach oznajmiających o przyjeździe lorda Cateley. A może towarzyszy lordowi jego przemiła siostrzyczka, miss Evangelina, która wyobraża sobie, że odegra w pałacu moim rolę polityczną obok brata! Ale nie zdziwię się wcale, ujrzawszy pana Piotra Moreau przy boku lorda Cateley! Należy nam się teraz więc porozumieć, mój przyjacielu, aby jego widok nas nie zaskoczył i żebyśmy nie zadrżeli przed nim jak małe dzieci! jak ty obecnie, mój Gewolski, który masz wygląd skruszonego winowajcy. Co do mnie — dodał książę, maskując doskonale swój niepokój — oczekuję z niecierpliwością i ciekawością zarazem tego Anglika, który ma odwagę stanąć przed mojem obliczem! Wytłomaczę ci to później kiedyś. Jestem z tobą szczery, ale jeszcze nie na tyle, aby ci odkryć największe tajemnice mojej duszy. Powtarzam tylko, że ten człowiek daje mi wielki dowód odwagi i zuchwalstwa. Lub też, — kończył książę prostując się dumnie — ma o moim charakterze wyobrażenie tak wzniosłe, jak ja o jego sile.

I chcąc dać dowód uznania człowiekowi, którego nienawidził całą duszą, a jednak nie przestał szanować, książę Kiwani kazał czynić wspaniałe przygotowania na przyjęcie gościa. Przygotowania godne uczcić samego wicekróla i gubernatora Indyi.

Ministrowie i Matjasi ośmielili się uczynić uwagę księciu, że choć misya, w której przybywał lord Cateley, była dość poważna, jednak nie należało mu oddawać względów i honorów należnych udzielnemu księciu.

Na tę uwagę wygłoszoną z całem uszanowaniem i delikatnością, książę odpowiedział złośliwym uśmiechem i dodał, że czyni to jedynie dlatego, aby się przypodobać Anglii. O urażeniu wicekróla Indyi nie było mowy, bo tenże ustępował dobrowolnie, z powodu wieku. Lord Cateley był zaś przyjacielem króla Angli.

W całym pałacu mówiono tylko o przyjeździe lorda Cateley do Kiwani. Opowiadania o jego czynach i walecznych wyprawach, rozbrzmiewały jednogłośnie na szpaltach wszystkich pism, zarówno angielskich, dosyłanych do Kalkuty, jak i miejscowych, które w stolicach państwa Indyjskiego nabierały z dniem każdym wielkiej poczytności.

Żaden z Anglików dotąd nie potrafił sobie zaskarbić sobie tyle sympatyi w tym narodzie, co lord Cateley, bo lord, choć Anglik, mało przebywał w swoim kraju, a przebiegając ciągle po świecie całym, mógł sobie zdać sprawę z buntu, tak często wywołanego egoizmem, brutalnością i zarozumiałością władz angielskich, które w ten sposób postępując szkodziły tylko wewnętrznej polityce swojego kraju.

Lord Cateley uznawał we wszystkiem postęp czasu i siłę ewolucyi. W mowach i artykułach swoich przypominał ciągle wielkość romańską, która całemu światu spokój przyniosła. A główną pretensyą Anglii była, że powróciła ta wspaniała idea.

— Widzicie więc — zawołał książę do swoich ministrów — że to człowiek o nowych poglądach i o umyśle niezwykłym, który do nas przybywa! Musimy go więc tak przyjąć, jak nikt jeszcze w naszym kraju przyjętym nie był.

Pośród zamieszania spowodowanego gorączkowem przygotowaniem, doktór Gewolski i księżna Sahadża schodzili na plan drugi, tylko Stanisław musiał się ciągle znajdować przy księciu i służyć mu radą i pomocą.

Ale z chwilą przyjazdu lorda Cateley do Kiwani, miało się wrażenie, że ludność całego kraju wypłynęła ze swoich domostw, aby przypatrzeć się jego wjazdowi. A wjazd ten odbył się z całą malowniczą i oryginalną inscenizacyą Indyj.

Lord Cateley przybywał do Kiwani na wspaniałym słoniu, pod baldachimem, promieniejącym od złota, drogich kamieni i tęczowej gry różnorodnych jedwabiów. Towarzyszyła mu straż, złożona z cipajów, na koniach.

Poczciwy Morel o mało nie oszalał z podziwu i radości na widok tak artystyczny i niezwykły. Na rozkaz księcia miał on wymalować obraz, uwieczniający wjazd lorda Cateley do Kiwani.

Zainstalowany na wysokiej terasie, skąd widział rozwijający się pochód, nie przestawał głośno objawiać swojego entuzyazmu dla tych zachwycających kostyumów, broni, typów, dotąd nigdy nie widzianych, a które w oświetleniu palącego słońca Indyj dawały wrażenie jakiejś baśni czarodziejskiej! Przy boku malarza znajdowała się Fernanda, która pomagała ojcu według swoich umiejętności, Lusia bowiem zajęta była przy księżniczce Kicie, od której na krok odstąpić nie mogła.

Na stopniach pałacu stała księżna i Gewolski, który pragnął bardzo usunąć się od tej manifestacyi, lecz na jego prośbę, wyrażoną w tym względzie, książę Kiwani odpowiedział, że życzeniem jego jest być otoczonym dnia tego najszczerszymi przyjaciółmi i naturalnymi obrońcami. A czyż miał lepszego przyjaciela nad Gewolskiego, któremu powierzył zdrowie swoje i zdrowie ukochanego dziecka?

Gewolski potrafił więc zapanować nad trapiącym go bezustannie niepokojem i przywołać na twarz nieprzeniknioną maskę spokoju i obojętności, na której nawet bystre oko lorda Cateley nic wyczytać nie mogło.

Jednakże Gewolski poczuł, jak krew lodowacieje mu w żyłach, gdy ujrzał słonia, niosącego lorda Cateley, przyklękającego przy stopniach peronu. Lord powstał, kłaniając się uprzejmie księciu, który z godnością odpowiedział na ten ukłon, lecz zanim lord zdążył zejść z lektyki, wyskoczył z niej jakiś człowiek, dotąd ukryty za firanką. Człowiek ten odsunął służbę, cisnącą się do lorda Cateley i sam dopomógł mu zejść. Lord Cateley serdecznym uśmiechem podziękował za tę pomoc i rzekł, a słowa te pośród ogólnej ciszy dobiegły do zebranych.

— Mój kochany doktorze, obchodzisz się ciągle ze mną jak z chorym człowiekiem.

Człowiekiem, który towarzyszył lordowi, był Piotr Moreau, ten który był niegdyś Sebonnierem i Janem le Kerlackiem, i którego odważnej interwencyi lord Cateley zawdzięczał życie.

A więc nie odbył podróży na pokładzie „Indiany". I nie on to wrzucił Gewolskiego do morza!

Przeniklіwem i wylęknionem spojrzeniem Gewolski poszukał twarzy syna, chcąc wyczytać, jakie na nim uczyniło wrażenie przybycie tego człowieka, poczem wzrok jego zatrzymał się na postaci malarza Morel i jego córki Fernandy! Przecież to było niemożliwe, aby ci wszyscy ludzie nie okazali bodaj zdziwienia, o ile naturalnie nie byli uprzedzeni o tej niespodziance!

Ale to badanie Gewolskiego było bezowocne! Stał niewzruszony, trochę blady, lecz spokojny, mała Lusia uśmiechała się szczerze i naturalnie, rozmawiając z księżniczką, pan Morel zaś i Fernanda tak byli pochłonięci gorączkową pracą, że nie zwracali na nic uwagi. Stary malarz wściekle machał pendzlami, które mu podawała córka, mieszał farby, zmieniał płótna, a Fernanda w chwili wolniejszej chwytała

widoki, maleńkim błyskawicznym aparatem fotograficznym.

— Jak oni cudownie grają komedyę — pomyślał z wściekłością Gewolski. — I jakże czuć się musieli pewni siebie, podczas gdy pod Gewolskim nogi drżały z lęku całą siłą woli tłumionego, a w oczach księżnej Sahadżi czytał trwogę rozpaczliwą, graniczącą z obłędem.

Ale najlepszym komedyantem był niezaprzeczenie sam Piotr Moreau! — bo gdy wspólnikom jego przypadły w udziale role milczące — on musiał odpowiadac na łaskawe słowa księcia wyrażającego mu gorącą wdzięczność za zachowanie cennego życia lorda Cateley.

Spokojnym i dobrodusznym głosem odpowiadał, że każdy na jego miejscu uczyniłby to samo — a że ludzie uganiający po całym świecie, tak jak on — posiadają zawsze pewne wiadomości — nieznane uczonym.

— Nie zmniejszaj wartości swojego czynu, mój kochany! — rzekł na to lord Cateley. - Czy bez twojej pomocy, znajdowałbym się tu obecnie? Czy miałbym zaszczyt być tak przyjmowanym przez stronnika i przyjaciela mojego króla? Jego Wysokość książę Kiwani zrozumie zapewne, że uczyniłem pana moim stałym towarzyszem, abyś mógł mnie dalej otaczać staraniem i serdeczną opieką!

Doktór Piotr Moreau został więc oficyalnie przyjęty w pałacu Kiwani, a znajdował się, tak samo jak ambasada, pod opieką rządu angielskiego.

Osobistością najważniejszą w ambasadzie angielskiej, po Piotrze Moreau była siostra lorda Cateley, miss Ewangelina Goldenspeech, która tryumfowała na równi z bratem i objawiała najwyższą radość na widok dawno niewidzianej księżniczki Kity i która obsypywała przyjaznemi słowami księżnę Sahadżę i z przyjemnością rozmawiała o Paryżu ze Stanisławem, Lusią i Fernandą.

— Oh! mój Boże! — zawołała stara panna, pośród wybuchu ogólnego śmiechu zwracając się do słynnego malarza. — Czy nie mówiłam panu w Sannois, że ten zacny pan Sebonnier, jak dwie krople wody, podobny jest do pana! Widziałeś go pan teraz, prawda? I czy to nie ciekawe doprawdy, że i nazwiska wasze brzmią tak podobnie!... Moreau... Morel! Z wszelką pewnością musi istnieć pomiędzy rodzinami waszemi jakiś węzeł pokrewieństwa, o którym nawet nie wiecie!

Stanisław i Lusia zadrżeli lekko na te słowa. Gewolski przenikliwie obserwował starego malarza, chcąc koniecznie pochwycić wyraz zmieszania na jego twarzy. Ale stary malarz trzymał się ostro, zadowolony, że może zakpić sobie z tego Gewolskiego, który śmiał pogardzić jego ukochaną Lusią i znaleźć ją niegodną na żonę swego syna! To też odpowiedział spokojnie, patrząc na Gewolskiego:

— Kto wie? Może miss Ewangelina ma słuszność! Pomówię o tem z panem Moreau, jak tylko znajdę stosowną chwilę.

Ale rozmowa ta nie miała prędko nastąpić; bo zaledwie lord Cateley znalazł się w pałacyku dla niego przeznaczonym, a znajdującym się naprzeciw apartamentów księcia Kiwani, gdy rozeszła się wiadomość, że ambasador zasłabł...

A przecież miał wygląd zupełnie zdrowego człowieka po przyjeździe! Podtrzymywała go zapewnie duma i wola okazania się w najkorzystniejszej postaci, w oczach zebranego tłumu. Lecz noc poprzednią przebył niespokojnie otoczony staraniem Piotra Moreau, co potwierdziła miss Ewangelina, która pobiegła natychmiast do brata.

Niedyspozycya jednak lorda Cateley nie była zatrważająca. Zapadł tylko na lekki paroksyzm febry, z którą Piotr Moreau szybko się uporał, okrywając pacyenta ciepłymi kocami i zmusiwszy go do wypicia kilku szklanek grogu, tak, jak to czynił dzielny Bamboul w Paryżu.

W tej chwili lord Cateley spoczywał. Przedtem jednak poprosił księcia o odroczenie wszelkich recepcyj na dzień następny. W odpowiedzi książę wysłał natychmiast do ambasadora doktora Gewolskiego, zalecając mu, aby przy dostojnym gościu pozostał do jego dyspozycyi.

Gewolski sądził przez chwilę, że będzie to rozpoczęcie walki pomiędzy nim a Piotrem Moreau, bo przypuszczał, że choroba lorda była tylko wyszukanym protekstem. Ale został przyjęty przez oficera i sekretarza ambasadora, który gorąco podziękował księciu i Gewolskiemu za ich względy i twierdził, że jedna noc dobrze przespana powróci siły i zdrowie lordowi Cateley, cała ta jego niedyspozycya bowiem była tylko wywołana trudami podróży. A że już noc zapadała, Gewolski opuścił pałacyk pogrążony teraz w ciszy i zupełnym spokoju.

Ministrowie indyjscy dość podejrzliwie przyjęli wiadomość o zasłabnięciu ambasadora angielskiego i chcieli natychmiast podyskutować na ten temat z księciem Kiwani. Odroczenie przyjęć było w ich oczach tylko wybiegiem politycznym, bo może lord Cateley nie chcąc się angażować od pierwszej chwili gościną u księcia indyjskiego, chciał wykorzystać zwłokę i podać swoje warunki? A może ambasador nie był tak sympatycznie usposobiony dla ich władcy jak się zdawało, może w Anglii zdano sobie sprawę,



Cateley przybywał do Kiwani na wspaniałym słoniu.

że książę Kiwani sekretnie nie był przeciw agitacyi wywołanej przez fakirów?

Książę Kiwani nie pozwolił długo rozstrząsać tych wątpliwości. Odpowiedział tylko, że w sposobie postępowania lorda Cateley widzi nowy dowód przyjaźni i zaufania, zrodzonego z pierwotnej jeszcze znajomości w Paryżu, która przeszła nawet na drogę przyjacielskiej zażyłości. Przybył tu jako przyjaciel i zachowywał się ze swobodą przyjaciela.

— — — — — — — — — — — —

Ale książę doznał silnego wstrząśnienia, kiedy pozostał sam w swoim gabinecie. Nie było to przecież wstrząśnieniu lęku... lecz takie, jakiego doznaje wielki zwycięzca, w chwili rozpoczynającej się walki...

W pierwszej chwili władca indyjski chciał się otoczyć radą Gewolskiego i księżnej Sahadżi, lecz zaraz odrzucił ten zamiar. Nie! nie! Nikt obcy nie powinien stanąć pomiędzy nim a lordem Cateley! Była to sprawa do rozsądzenia między nimi tylko! Pod pozorem pracy książę zamknął się w swoim gabinecie, skąd mógł doskonale śledzić pokoje zajmowane przez przeciwnika.

Suggestya jego myślowa była tak silna, że książę czuł w pokoju obecność lorda Cateley. Tenże zaś, leżąc w swoim pokoju pod lekarską oficyalną opieką Piotra Moreau, której zresztą nie potrzebował, był przekonany, że książę w tej chwili oczekuje jego przybycia.

Aby uwolnić się od otoczenia, lord Cateley musiał zagrać komedyę — rozebrał się całkiem i położył do łóżka. Ale około północy wstał i z okna badał pałac księcia i dojrzał jego sylwetkę, pochyloną nad biurkiem.

Książę pisał lub też przeglądał jakieś papiery. Ale wkrótce, gdy osądził, że wszyscy w pałacu spoczywać już powinni, podszedł do okna i on również. I obydwaj przeciwnicy zrozumieli, że chwila stanowcza nadeszła dla nich.

Książę Kiwani otworzył okno, lord Cateley uczynił to samo.

Książę dał ręką znak gościowi, na który tenże odpowiedział przytakującem skinieniem.

Poczem człowiek jakiś prześlizgnął się wzdłuż kolumny pałacyku lorda Cateley, przebiegł park i wdrapał się zręcznie, jak małpa, na balkon, tuż pod oknem księcia. Był to Bamboul! Murzyn nie potrzebował nic mówić — książę odezwał się natychmiast:

— Twój pan chce ze mną mówić? Niech przyjdzie!

— Przez jakie drzwi wprowadzić go, o mój książę?

— Sądzę, że twój pan pragnie mówić ze mną, nie będąc przez nikogo widzianym!? Czy nie jest tak zręczny, jak i ty? A zresztą dopomożesz mu w przeprawie! Powiedz mu tylko, że jest gościem moim, a przez to nienaruszalnym!

Następnie książę, upewniwszy się, że straż pilnująca głównego wejścia spi głęboko, pozamykał wszystkie drzwi, prowadzące do jego gabinetu, na klucz i powrócił do okna, oczekując przybycia lorda Cateley.

Tenże był rzeczywiście tak zręczny jak Bamboul, bo bez jego pomocy dostał się łatwo do okna księcia. Natomiast lord Cateley i Bamboul musieli użyć swoich sił, aby tą samą drogą wprowadzić do gabinetu księcia Piotra Moreau, którego niespodziewanie ujrzał przed sobą.

— Sądziłem, mylordzie — rzekł z lekką wymówką, że rozmowa nie będzie mieć świadków.

— Zapewniam Waszą Wysokość, że obecność pana Piotra Moreau, mojego przyjaciela i zbawcy, będzie nam bardzo pożądana. A ja dla niego niemam żadnych tajemnic. Zresztą on tu będzie, aby w razie potrzeby upewnić księcia.

— Czy sądzisz, mylordzie, że nie będę wierzył słowom twoim i to w chwili tak poważnej?

— Ja również pokładam całą ufność moją w tobie, książę, lecz są pewne rzeczy, które musisz usłyszeć od Piotra Moreau, mojego przyjaciela i lekarza. Ja sam dowiedziałem się tych rzeczy od niego, więc pragnę, aby i Wasza Wysokość usłyszała je z jego ust.

— A więc słucham, mylordzie! — rzekł książę, wskazując fotel lordowi Cateley.

— Ja zaś — odezwał się Piotr Moreau — stanę na straży.

Mówiąc to, podszedł do okna.

— Słucham cię, mylordzie — powtórzył książę, którego czarne oczy skrzyżowały się z przenikliwem, stalowem spojrzeniem Anglika.

Lord Cateley namyślał się chwilę.

— Starać się będę być treściwym w słowach — rzekł wkońcu. — Zapewne Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę z natuiy dyplomatycznej mojego zasłabnięcia?

Książę uczynił potwierdzający ruch głową.

— Jutro będziemy mówić o poważnych kwestyach, jakie mogą interesować nas, tyczących się waszego kraju, książę, waszego narodu, a które są żywotną kwestyą także i dla mojego kraju. Ale chciałbym wiedzieć przedtem, czy przystąpimy do tej rozmowy z całą bezstronnością i wyższością zapatrywania, na jakie obydwa nasze kraje zasługują ze strony Waszej Wysokości. Bo niegdyś nienawidziliśmy się ogromnie obydwaj, choć książę nie wiedział nawet, kim jestem w rzeczywistości.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ordynat Bisping na wolności: Odjazd ord. Bispinga z więzienia na „Pawiaku".



Związek Stowarzyszeń spożywczych: Obrady Związku stowarzyszeń spożywczych w Warszawie.

Ordynat Bisping na wolności.

Ordynat Bisping, po skazaniu go przez pierwszą instancyę, znalazł się już na wolności. Izba sądowa, biorąc pod uwagę zły stan zdrowia oskarżonego, zgodziła się na wypuszczenie go za kaucyą 100.000 rubli. O godzinie 5 po południu ord. Bisping opuścił mury więzienne, w których przebył prawie 14 miesięcy. Osłabienie ordynata i choroba jego są tak poważne, że nie będzie on mógł powrócić zaraz do Massalan.

Illustracya nasza przedstawia moment wypuszczenia ord. Bispinga z więzienia.

Zgon apostołki pokoju.

W Wiedniu zmarła w 72 roku życia baronowa Berta Suttner, jedna z najsławniejszych kobiet w Europie, odznaczona nagrodą Nobla za swą działalność na rzecz pokoju.

Była to bezwątpienia ciekawa postać kobieca. Pochodziła z najwyższej arystokracyi austryackiej. Ojcem jej był hr. Franciszek Kinsky, feldmarszałek austryacki. W r. 1876 wyszła za mąż za br. Artura Suttnera, znanego w Niemczech pisarza, zamieszkała stale na zamku w Herrmansdorf (w Dolnej Austryi) i poświęciła się zupełnie literaturze. Poczet jej dzieł jest bardzo pokaźny. Rozpoczęła od powieści o silnem zabarwieniu społecznem, a ulubionem ich tłem było zawsze „towarzystwo", jego poglądy i śmiesznostki, zwyczaje i dziwactwa. Powieści te cieszyły się znaczną poczytnością. Rozgłos



Zgon apostołki pokoju: Bar. Berta Suttner.

europejski dała jej książka „Precz z orężem". Tu rzuciła się z zapałem w bój o ideę powszechnego pokoju na świecie. „Waffen nieder!" tłumaczono na wszystkie języki europejskie. Wartość artystyczna powieści nie usprawiedliwiała może tak wielkiego rozgłosu, zawdzięczała go natomiast wybitnemu i niezaprzeczonemu temperamentowi agitacyjnemu.

Bar. Suttner rozwinęła także pracę organizacyjno-społeczną. Z jej inicyatywy powstało w r. 1891 „Austr. Towarzystwo przyjaciół pokoju" i obrało ją swą przewodniczącą. Uzyskała też stanowisko wiceprezydentki międzynarodowego biura pokojowego.

W ostatnich latach usunęła się w zacisze i patrzyła z boleścią na bankructwo swych ideałów. Szlachetna entuzyastka pokoju umierała przy wtórze ponurego chrzęstu zbrojeń wszystkich mocarstw świata.

Związek Stowarzyszeń spożywczych.

W tych dniach odbył się w Warszawie zjazd delegatów Związku stowarzyszeń spożywczych, który zgromadził we własnej siedzibie Związku 350 pełnomocników 180 stowarzyszeń, rozsianych po całym kraju. Na zebraniu tem, które zagaił prezes rady nadzorczej, p. Stanisław Karpiński, odczytano sprawozdanie, poczem wywiązała się obszerna dyskusya nad sprawozdaniem i wnioskami.

Zebranie zakończyło się uchwaleniem szeregu rezolucyi, a między innemi uchwały, wzywającej stowarzyszenia spożywcze do skasowania sprzedaży wódek.



„Dzień dzieci" we Lwowie: Wyjazd „na łowy".



Straszna katastrofa w przestworzach: Kondukt pogrzebowy ze zwłokami ofiar w Fischamend.

Kronika tygodniowa.

W poprzedniej kronice narzekałem na zbliżającą się zbyt szybkim krokiem kanikułę, dziś muszę przyznać, że narzekania moje były co najmniej przedwczesne, bo, po pierwsze, nie jest znów tak gorąco, aby nie można wytrzymać, a po drugie, dzięki naszym wielkim mężom, specyalistom od zagranicznej polityki, jest i o czem pisać i mówić, sprawa albańska i grecko-turecka nie schodzą bowiem z porządku dziennego.

Na ochłodzenie temperatury wpływają przedewszystkiem dość częste deszczyki, które skrapiają ziemię, szczególniej w te dni, gdy zapowiedziane są wyścigi, wychodzi zaś na tem najlepiej Zakład czyszczenia miasta, który wobec tego nie potrzebuje skrapiać ulic i placów, ale nie zbiera też i błota, wychodząc z tego, słusznego zresztą zapatrywania, że nie opłaci się dziś trudzić, skoro i jutro spodziewać się można deszczu, błoto zaś jest zwykłem i koniecznem jego następstwem.

Deszczyki chwalą sobie także i wyścigowcy, gdyż rozmoknięta ziemia nie jest tak twardą, a zdarza się dość często, że, zwłaszcza w te dni, kiedy „panowie jeżdżą“, koń idzie naprzód, jeździec zaś znajduje się na ziemi i narzeka, że rumak był za krótki.

Niezadowoleni są tylko totalizatorowicze, nie opłaci się bowiem dla kilku, albo choćby nawet i kilkunastu koron moknąć na deszczu, zabłocić po kolana i nabawić kataru, owej niewinnej słabości, której szeroko rozwinięta sztuka lekarska dotąd ujarzmić nie zdołała.

Choć, prawdę powiedziawszy, pierwszy dzień wyścigów wypadł stosunkowo dobrze. Deszcz, z powodów od Dyrekcyi niezależnych, zaczął padać dopiero pod wieczór, a totalizator, jakby na zachętę, płacił wcale nie najgorzej.

Pamiętać jednak trzeba na stare przysłowie, że „pierwsze koty za płoty“ i na ową admonicyę poety, skierowaną właśnie do sportsmanów: „nie graj Wojtek, nie przegrasz... kamizelki“.

Niżej niepodpisany kronikarz osobiście na torze wyścigowym się nie zjawił, a to głównie z powodu chronicznego braku gotowizny, choroby gorszej jeszcze od wspomnianego wyżej kataru. Gdyby się tak znalazł ktoś, ktoby wymyślił na nią jakieś antidotum, jestem pewny, że zyskałby ogólne uznanie i doczekałby się pomnika wcześniej nawet, niż Kościuszko, nie mogący z wyższej woli opuścić gościnnych murów Straży ogniowej.

Nawet Wysoki Rząd, z zasady mający przy płaceniu ciężką rękę, z pewnością nie odmówiłby na ten cel wydatnej subwencyi, zwłaszcza, że zaraz poprawiłyby się i owe „konjunktury finansowe“, na co z takiem utęsknieniem oczekują panowie c. k. inspektorowie od śruby podatkowej.

Dla wiadomości statystyków, którzy kiedyś pracować będą nad ruchem żywych i umarłych (o ile *nota bene* nieboszczykowie ruszać się mogą! przyp. zecera) wspomnieć wypada, że w czasie wyścigowym jest w Krakowie stanowczo najwięcej „redaktorów“. O ile zdołałem sprawdzić, to z pomiędzy mych znajomych, a mam ich sporo, co drugi był redaktorem, otrzymał bowiem, jako kartę wstępu na wyścigi, tak zwaną „plakę redakcyjną“, o którą prawdziwi redaktorzy nieraz bez skutku prosili. Między owymi „redaktorami *in partibus infidelium*“, pasowanymi na tę godność przez zarząd Towarzystwa wyścigów konnych, znajdowali się przedstawiciele wszystkich zawodów. Aż serce radowało się, że człowiek ma tylu kolegów po fachu! Słusznie zowią Kraków „polskiemi Atenami“, takie zatrzęsienie redaktorskie jest w każdym razie dowodem wysoko rozwiniętej kultury, o której stanie sądzić można nie tylko z ilości zużytego mydła, jak tam jakiś filozof powiedział, ale też i z liczby przeczytanych dzienników.

Gdzie zaś tylu redaktorów, tam musi być i wiele pism.

Uporawszy się z pogodą, należałoby się zająć sprawą bałkańską i grecko-turecką, o których na wstępie wspomniałem, pierwszeństwo muszę przecież oddać tak zwanemu „konikowi zwierzynieckiemu“, czyli „lajkonikowi“, zwłaszcza, że przy tej okazyi nasuwają się człowiekowi pewne refleksye.

Przedewszystkiem więc tegoroczny „konik“ miał dla Krakowa symboliczne znaczenie, artystą bowiem, który grał jego rolę, był niejaki p. Bieda. Uciekali przed nim rozszerzeni Krakowianie i spętane Krakowianki, nie każdemu przecież się udało uniknąć ciosu jego pałki.

A czyż w życiu codziennem tak samo się nie dzieje? Czy nie prześladuje nas bieda, ale taka prawdziwa i to w najlepszym gatunku!... Na każdym kroku spotykamy się z nią, uciekamy przed nią, ona jednak goni nas niestrudzenie.

Pozatem w dniu owym skonstatowano, że przemysł krajowy rozwinięty u nas jest bardzo wysoko, po obchodzie bowiem zgłoszono w policyi ni mniej, ni więcej, tylko aż sto kradzieży kieszonkowych.

Krakowska publiczność ma to do siebie, że ogromnie lubi zbiegowiska. Wystarczy, by ktoś stanął na Rynku i zaczął się gapić na wieżę Maryacką, znajdzie zawsze kilku a nawet kilkunastu takich, którzy pójdą w jego ślady.

Sam raz, gdym był jeszcze młodszy, zatem więcej fantazyi posiadający, postanowiłem sobie zażartować z ciekawych współobywateli.

Stanąłem więc przed kościołem Maryackim, zadarłem głowę do góry i patrzę... Za chwilę staje koło mnie kupka ludzi i patrzą także w tym samym kierunku.

Gdy mi się już znudziło, odwracam się powoli, mówiąc do siebie półgłosem:

— Hm! A jednak wzrok mnie nie myli!

Ciekawość gromadki, która tymczasem stała się wcale pokaźną, doszła do punktu kulminacyjnego, ponieważ zaś nikt jakoś nie mógł się niczego dopatrzeć, jeden z odważniejszych obywateli zwraca się do mnie z zapytaniem:

— A co pan dobrodziej tam widzi?

Jak na dobrze wychowanego człowieka przystało, nie zwlekałem z odpowiedzią.

— To kochany pan nie widział? — zapytałem z kolei.

— Nie! — odparł i patrzy dalej.

— Dziwna rzecz!... Widzi pan, ot, tam, na szczycie wieży, po chorągiewce łazi mucha i kuleje na prawą nogę...

Popatrzył na mnie z politowaniem, potem splunął z odrazą i odszedł, mrucząc coś pod nosem. Zapewne, jako miłujący bliźniego, życzył mi, bym nogi połamał lub kark skręcił.

Otoż każdy przeciętny Krakowianin stworzony jest na obraz i podobieństwo owego jegomościa, najmniejsze głupstwo wystarczy, by zapomniał o całym świecie i, gapiąc się, przypominał owego głuszca tokującego, o którym śpiewa natchniony poeta, że „nic nie widzi, nic nie czuje“...

A czy może być lepsza sposobność dla złodzieja kieszonkowego, który potrafi skorzystać z tego i zoperować biedaka?

W czasie obchodu „lajkonika“ zbiegowisko zaś jest tak ogromne, że w niektórych miejscach próżnobyś się silił, by się przez tłum przebić. Tu dopiero zaczyna się prawdziwe żniwo dla „doliniarzy“. Trzeba zaś wiedzieć, że w szeregu gapiów znajduje się oprócz tak zwanej popularnie gawiedzi i sporo intelligentów, którzy konika wprawdzie widzieli już przynajmniej dwadzieścia razy w życiu, pchają się przecież i pozwalają sobie obijać boki, by go widzieć po raz dwudziesty i pierwszy.

To rozumiem! To jest dopiero szanowanie tradycyi.

Największy ścisk panuje z reguły w ulicy Brackiej, która jest stosunkowo dość wązką, a gdzie gromadzi się mnóstwo ciekawych. Jedni poprzedzają konika, inni spieszą po procesyi pod pałac biskupi, aby go powitać.

Skoro więc orszak znajdzie się już w ulicy, policya, ze względu na publiczne bezpieczeństwo, zamyka ulicę kordonem żołnierzy, aż do chwili, gdy „konik“ dojdzie do Rynku i tu rozpocznie swe harce. Poza kordonem ścisk nie do opisania, gniotą się młodzi i starzy, chudzi i tłuści, krotochwile urządzają sobie wyrostki podmiejskie, nawołując się wzajemnie: „daj mu sera!“, a korzystają z tego amatorzy cudzej własności.

Niech jednak kto nie myśli, aby się to publiczności podobało!... Są uparci, a na upór, jak wiadomo, niema lekarstwa, którzy powiadają, że właśnie teraz chcą przejść ulicą Bracką, zarządzenie zaś policyi uważają za ograniczenie obywatelskiej swobody.

Właśnie tego roku wydarzył się podobny incydent. Pewien intelligent i to nie taki przeciętny, ale mający studya uniwersyteckie, postanowił za wszelką cenę przedostać się poza kordon, zamykający ulicę Bracką i jakoś mu się to udało.

Gdy się znalazł na wolniejszem miejscu i napotkał znajomego komisarza policyi, wpadł nań z furyą i zawołał:

— Co to za porządek?... Ja chcę przejść przez ulicę Bracką, a tu mnie nie puszczają?...

— Widzi pan, że zamknięta!... — odparł zagadnięty. — Przecież wygodniej i bezpieczniej dostać się na Rynek przez ulicę Grodzką.

— Kiedy ja chcę tędy!...

— Ha! Skoro pan chce koniecznie, to wolna droga! Ale nie radzę! Widzi pan, jaki ścisk...

— To mnie nie obchodzi! Kto zarządził zamknięcie ulicy?

— Ja!

— Pan?... Dobrze! Już ja znajdę drogę do władzy wyższej...

I kontent, że postawił na swojem, przy użyciu łokci i kolan zaczął przedzierać się przez tłum, a epilog był taki, że i on zgłosił się potem w policyi z doniesieniem, iż w ścisku skradziono mu pulares.

A takich upartych jest dość!

I cóż dopiero mówić o warstwach niższych, skoro w ten sposób postępują ludzie wykształceni?...

Gdyby publiczność zastosowała się do zarządzeń, jakie wydaje się ze względu na ogólne bezpieczeństwo i każdy widziałby tradycyjnego „lajkonika“ i nie naraził się na kilka sińców, albo okradzenie.

Pod tym względem stoimy daleko w tyle poza resztą Europy, nic też dziwnego, że potem narzekamy na niegrzeczne obejście się policyi z publicznością, boć przecież i oni są tylko ludźmi i mogą stracić cierpliwość.

Nie przeczę, że „władza“ urzęduje czasem zbyt energicznie, choć tego nie potrzeba, winna temu jednak organizacya naszej służby bezpieczeństwa. Zresztą ja sam, rok temu będzie, wspominałem i dziś to powtarzam, że Kraków, tak jak Wiedeń i inne wielkie miasta, powinien mieć straż policyjną nie wojskową, lecz cywilną, podległą bezpośrednio tylko Dyrekcyi policyi. Do tego jednak podobno bardzo jeszcze daleko!

Otóż, ponieważ właśnie w czasie obchodu „lajkonika“ najwięcej dzieje się różnych awantur, zaczynają się podnosić głosy, aby ten piękny obchód znieść raz na zawsze, a tem samem usunąć powód słusznych i niesłusznych narzekań.

Jeśli więc przyjdzie kiedyś do tego, winę przypiszmy sobie sami, powoli pozbędziemy się dawnych naleciałości, które drażnią niejednego i dopiero będziemy mogli powiedzieć, że Kraków się zupełnie zmodernizował.

Na *conto* postępu zapisać należy także wchodzące w modę „smaczne“ egzaminy. O tem dawniej nikt nie słyszał, dziś spieszy tam człowiek, wiedząc, że nie tylko ucieszy wzrok i słuch, ale także zadowoli i żołądek. Mam na myśli popisy szkół gospodarstwa domowego i bardzo żałuję, że nie jestem referentem tego działu. Stanowczo jest to przyjemniejsze, niż ciężka dola kronikarza, który musi sobie łamać nad tem głowę, co zrobić z księciem Wiedem, lub jak pogodzić sułtana z królem greckim.

Dla księcia Wieda znalazłem bardzo odpowiednie stanowisko. W Krakowie po abdykacyi króla jegomości Bialika panuje w Towarzystwie Strzeleckiem bezkrólewie, możnaby mbretowi albańskiemu zaproponować, czy nie zdecydowałby się na zamienienie niewygodnego tronu w Durazzo na bardzo wygodny fotel na krakowskiej Strzelnicy. Jako były rotmistrz umie chyba strzelać (nastrzelał już dość kaczek!... przyp. zecera), bez trudności straci więc resztkę kura i zapewni sobie na rok spokojny przytułek. Nasza brać strzelecka nie wznieci przeciw niemu powstania, nie będzie więc potrzebował oglądać się na pomoc Mirydytów i Malissorów.

Choć pono i na „Strzelnicy“ wieją także od czasu po czasu prądy rewolucyjne, jak to mieliśmy sposobność obserwować mniej więcej rok temu.

I na załagodzenie zatargu grecko-tureckiego mam sposób w zanadrzu. Niech sułtan jegomość z królem Konstantym rozegrają partyę piłki nożnej. Kto zrobi bramkę, tego ogłosimy zwycięzcą. Ponieważ Greczyn, jako młodszy i posiadający silniejsze odnóża, ma też i większe szanse zwycięstwa, Turek zawczasu powinien, jako pobity, pakować kufry i wynieść się do Azyi, a my tu już podzielimy się resztkami jego europejskiego dziedzictwa, bo do parcelacyi mamy i ochotę i wrodzone zdolności.





Powóz prezydenta miasta i inne wozy udekorowane. „Dzień dzieci" we Lwowie: Bogini „Diana" na rydwanie.

„Dzień dzieci" we Lwowie.

Niebywałą jeszcze, a bardzo piękną uroczystość, miał w ubiegłą niedzielę Lwów: dzień dzieci. Złożyły się nań: pochód ekwipażów ozdobionych i ukwieconych przez ulice miasta, walka kwiatowa po drodze pochodu, oryginalne widowisko „przegląd łowiectwa polskiego" na torze wyścigowym i festyn na placu powystawowym, oraz oczywiście zbiórka „drobnych" do puszek po ulicach przez cały dzień i „kwiatek".

„Dzień dzieci" zorganizowały zjednoczone komitety: kolonii wakacyjnych dla dziewcząt w Pniowie pod Nadwórną, kolonii leczniczej w Rymanowie, kolonii dla dzieci izraelickich w Dębinie, kolonii dla młodzieży szkół średnich, kolonii Tow. pedagogicznego dla uczniów szkół ludowych, „Dzieciątka Jezus", domu sierót pod wezwaniem N. P. Maryi i ochronek dla dziatwy wyznania mojżeszowego.

Udał się on doskonale. Pomimo grożącego przez cały dzień deszczu i burzy — przez cały dzień była pogoda. Dziesięciotysięczne tłumy wyległy na ulice, aby wziąć udział w zabawie, która kulminacyjnego punktu dosięgła popołudniu.

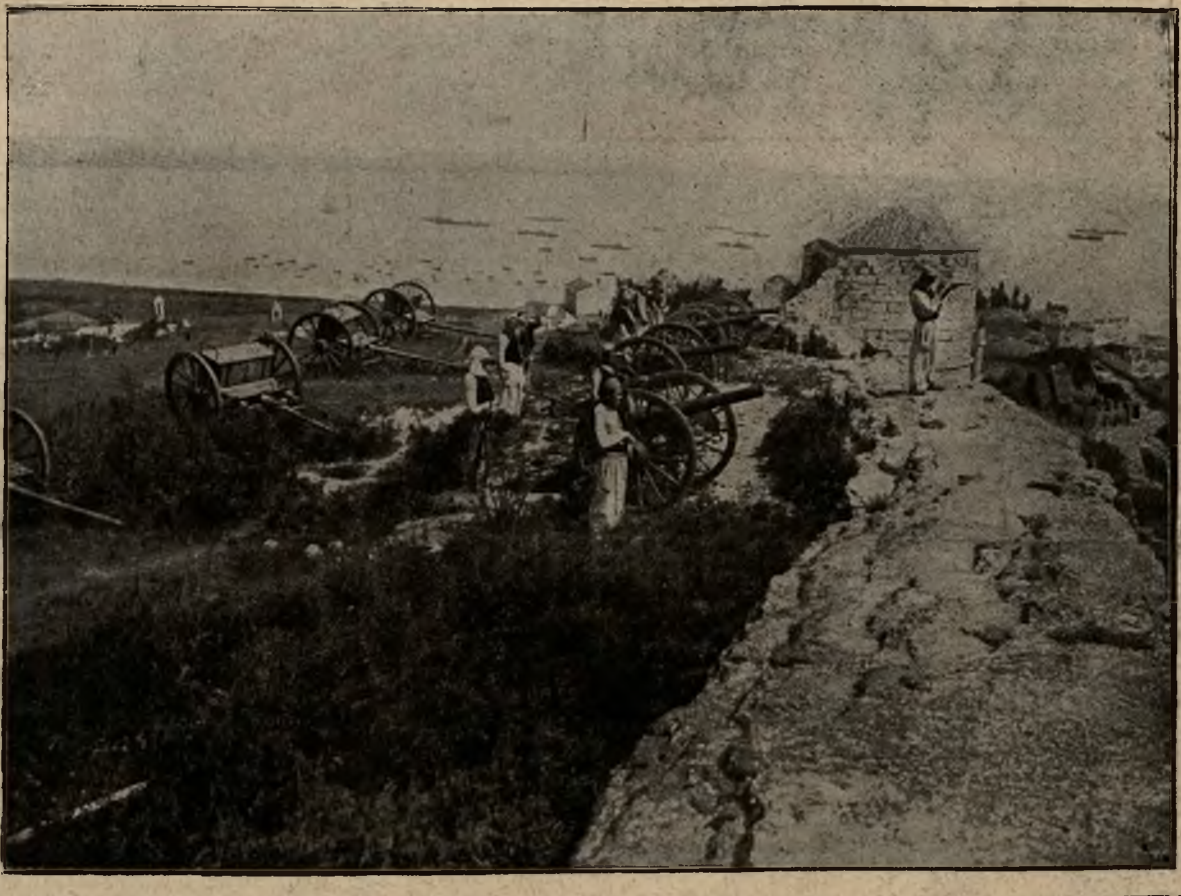
O godz. $3^{1}/_{2}$ głównemi ulicami miasta przedefilował pochód, przedstawiający łowy staropolskie. Pochód udał się na plac wyścigowy, gdzie odbyły się produkcye, którym przypatrywało się kilkanaście tysięcy osób. Niebo łaskawe było na p. namiestnikową, która wraz z wiceprezydentem Rady Szkolnej kraj. p. Dembowskim, stała na czele ruchliwego komitetu. Pochód prowadził p. W. Traczewski, za pochodem postępowało mnóstwo powozów i automobilów przybranych kwiatami. Produkcye, które zakończyły się po godz. 6, bardzo się podobały, poczem tysiące udały się na plac powystawowy. Na dzieci zebrano pokaźną kwotę dzięki ofiarności publiczności i zabiegom komitetu. Prócz tego na ręce wiceprezydenta dra. I. Dembowskiego złożyli przy sposobności wczorajszego „Dnia dzieci" p. Mar. Jaroszyński, wicepr. Tow. Kółek rolniczych 1000 kor. (ze specyalnem przeznaczeniem na kolonje wakacyjne) tudzież p. J. P. 200 kor.

Obok pochodu, w którym oprócz ekwipażów w corsie kwiatowem wzięły także udział liczne grupy kostyumowe, najefektowniejszym punktem zabawy było widowisko na torze wyścigowym.

Początek widowiska: polowanie z sokołem na gołębie nie dopisało z powodu wyraźnej złej woli sokoła, który nie chciał widać w „dniu dzieci" mordować niewinnych gołębi. Lepiej powiodło się polowanie z chartami, które po dłuższem szukaniu istotnie dopadły lisa.

W jeździe par force odznaczył się szczególnie oddział „Sokoła".

Ostatni punkt programu, polowanie z nagonką, przedstawiał bardzo ładny obrazek: szereg strzelców ustawionych po jednej stronie i zbliżająca się zdala nagonka, częste błyski ognia strzelb myśliwskich białe smugi dymu i szarak, który w zdziwionych podskokach zbliżał się do „linii ognia", to widok rzadki dla mieszczuchów.



Z tragifarsy albańskiej: Artylerya Mirydytów na pozycyach obronnych Durazza.



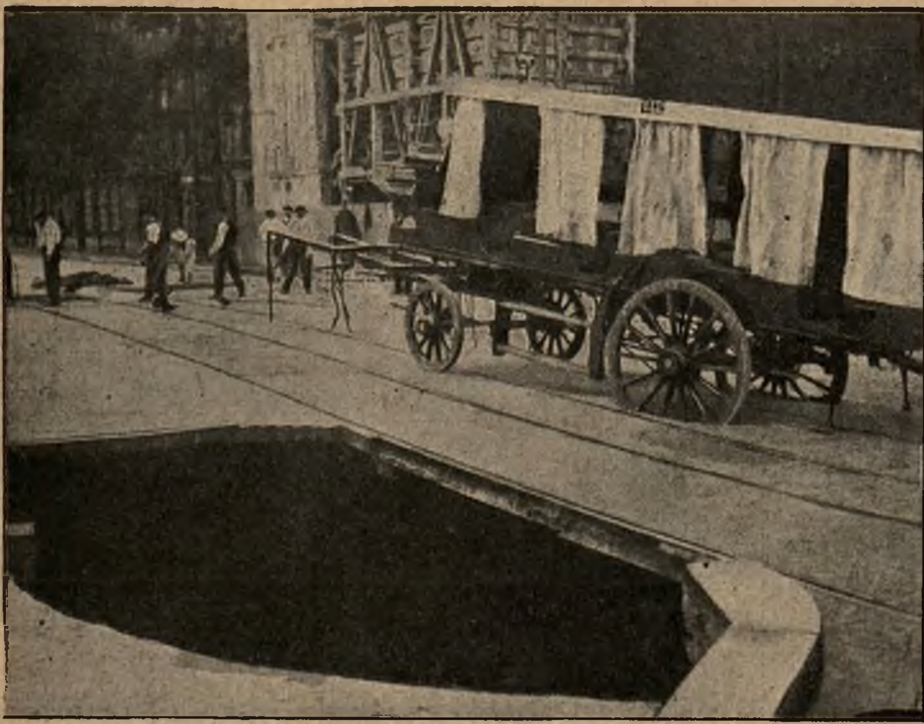


„Dzień dzieci" we Lwowie:

Protektorka „Dnia", namiestnikowa Korytowska z marszałkową Niezabitowską w udekorowanym powozie.

Grupa „Lisowczyków".

(Fot. M. Waydowicz, Lwów).





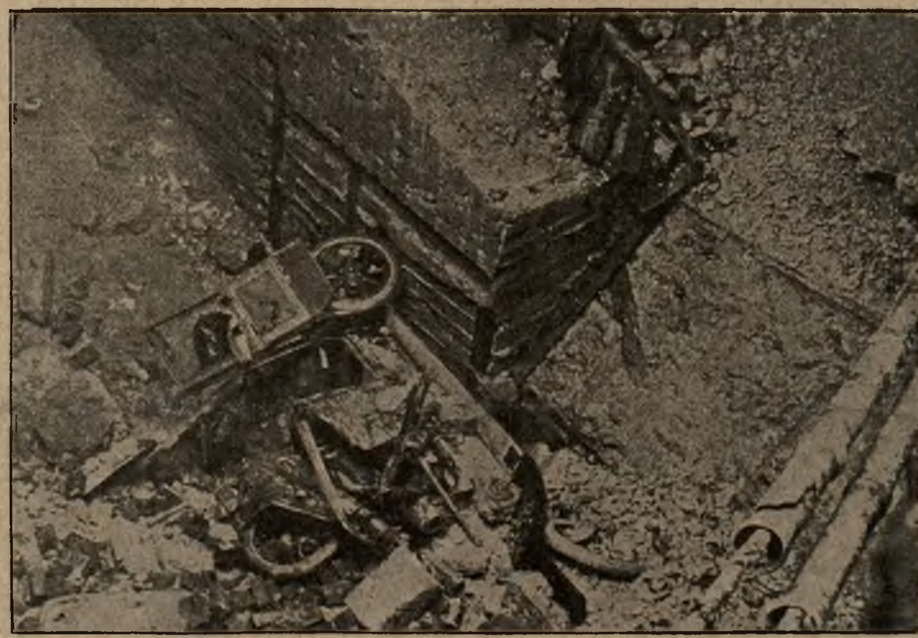
Wyrwa na placu św. Augustyna. **Zapadający się Paryż:** Rozpadlina na placu św. Filipa

Polowanie to skończyło się szczęśliwie dla zająca (strzelano ślepymi nabojami) i szarak, wydostawszy się poza linię strzałów, pomknął już raźno ku najbliższym krzakom. Wkońcu odbyła się wielka walka, w której ze strony tak pań jak i panów padały wielce niebezpieczne pociski w formie bukietów kwiatowych.

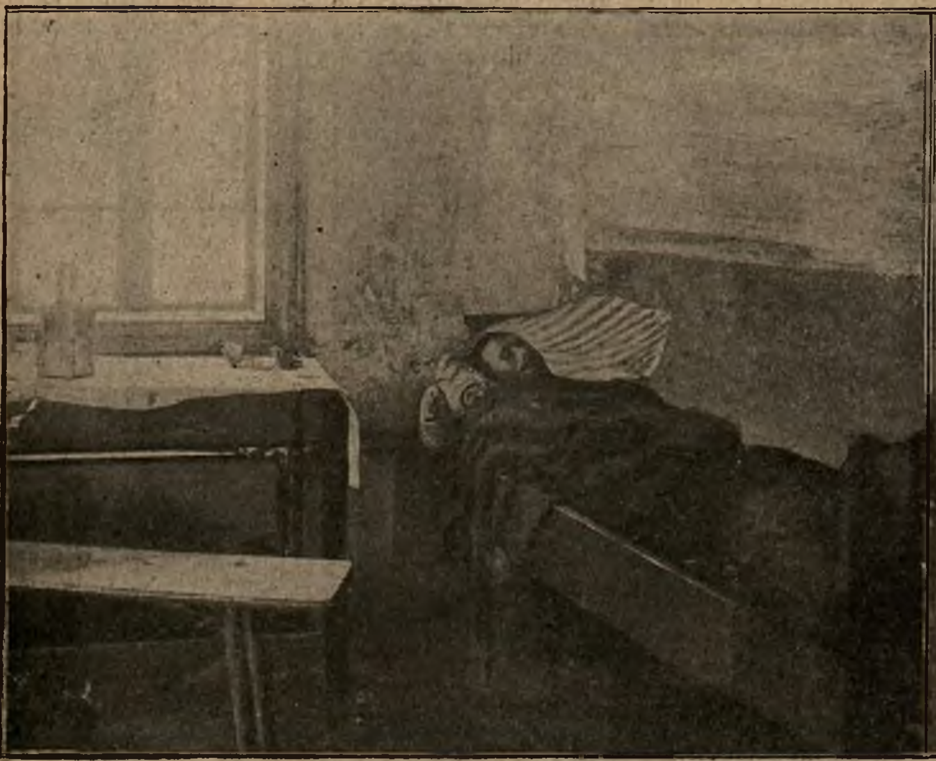
Zapadający się Paryż.

Pierwotnemu, niecywilizowanemu człowiekowi groziły żywioły — ogień, woda, powietrze. Przeciwko temu wszystkiemu mają za zadanie bronić człowieka współczesnego cuda techniki, które stworzyła cywilizacya. Wielkie miasto współczesne, aczkolwiek zwykle nie zdajemy sobie sprawy, złożone jest z samych cudów techniki. Zapomocą nich wielkomieszczanin styka się z wodą, ogniem, powietrzem, tylko w ich najniewinniejszej, nieszkodliwej formie. A jednak... Zamiast żywiołów, wielkich miast mieszkańcom grożą niebezpieczeństwem te właśnie cuda techniki. Paryż jest typowem cudownem i „sztucznem“ miastem. I on to właśnie daje nam przykład, jak cuda techniki są niebezpiecznymi. Takim cudem jest cały Paryż ze swą siecią kolei podziemnych, kanałów, katakumb pod spodem i wspaniałą powierz-





Rozpadlina na ulicy du Havre. **Zapadający się Paryż:** Zdruzgotany automobil w rozpadlinie ulicznej





Znowu morderstwo:

Okno, przez które wszedł zbrodniarz i zwłoki Schorra, zamordowanego w Jaryczowie Nowym pod Lwowem.

Pokój, w którym dokonano morderstwa.

(Fot. M. Münz, Lwów).

Rozwiązanie zagadek z Nr. 24.

Szarada: Paulina.

Logogryf:

A r o n
L i r a
F a r a
R o s a
E m m a
D o b a
K l o n
O r k a
N y g i
A r k a
R y b a

Przekładanka:

K a r a c z ó w
I n s p e k t a
L a b r a d o r
I l l i n o i s
N u n c y u s z
S t e f a n i a
K i s i e l ó w
I n t e n c y a

Bilety wizytowe: Stenotypista. Robotnik sezonowy Substytut notaryalny. Strażnik akcyzowy. Pocztylion.

Zadanie do przestawienia: Ksiądz dwa razy kazania nie mówi.

Przysłowiówka: Szczęście w grze, nieszczęście w miłości. Strzela, a nie nabije. Wyszło szydło z worka.

Rebus: Długo myśleć i prędko działać człowiek rozumny powinien.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, D. Zawadzki Jasło, R. Pawłowski Zamość, Z. Sperling Wiedeń, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, D. Engelberg Rzeszów, J. Halski Janów, K. Giżyńska Kijów, H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, J. Pawłowski Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blatterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, S. Karczmarski Poddębie, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, G. Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, M. Sokołowska Kraków, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, R. Michalski Lwów, B. Sługocki Lwów, H. Mazurkiewicz Lwów, J. Kalinowska Mińsk, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, H. Gliński Kołomyja, J. Lewiński Piotrków, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Biliński Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, J. Pick Warszawa, J. Maciejowski Lwów, H. Bukowska Winnica, K. Sroczyński Wilno, M. Obst Lwów, K. Ostrowski Sandomierz, S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, W. Swirski Piotrków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce, T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, M. Cichocka Brzeżany, D. Jahoda Cieszyn, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, H. Trojacka Wiedeń, W. Potocka Tarnów, J. Lisowski Sanok, H. Piątek Podwołoczyska, D. Chmura Lwów, K Armatys Kołomyja, R. Czarkowski Sokal.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Michalski, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Wieliczka. W sobotę dnia 4 lipca 1914 r. będzie kopalnia soli w Wieliczce dla zwiedzających rzęsiście oświetloną.

Zjazd do kopalni rozpocznie się szybem Arcyksięcia Rudolfa o godzinie 1 30 względnie 2 30 po południu.

Wstęp do kopalni wynosi 5 koron bez wyciągu, zaś z użyciem wyciągu parowego 6 koron od osoby.

Bilety wstępu są do nabycia w Krajowym Związku turystycznym w Krakowie (ul. Szpitalna L 36), zaś w dniu 4 lipca przy kasie, przed szybem zjazdowym.

Pociągi odchodzą z Krakowa do Wieliczki o godzinie: 12·42 (pociąg nadzwyczajny) i 1 30 po południu, zaś z Wieliczki do Krakowa o godzinie 5·32 pp., wreszcie 6 50 (pociąg nadzwyczajny) i 9·50 wieczór.

Czysty dochód przeznacza się na cele dobroczynne miejscowe

Uciecha, przygotowała na bieżący tydzień nadzwyczajny doborowy program. Oprócz aktualnej, senzacyjnej nowości, jaką jest obraz światowej firmy Gaumont „Tajemnicze X“, wyświetlany będzie na ekranie cykl najpiękniejszych obrazów z Astą Nielsen. Przez sobotę niedzielę i poniedziałek (od 20 do 21 b. m. włącznie), pójdzie słynna komedya „Młodość — Płochość“ z Astą Nielsen w głównej roli. Znakomita ta artystka królewskiego teatru w Kopenhadze występuje tu w roli chłopca. Przebiera się w strój męski dlatego, ażeby nie dopuścić do małżeństwa swego narzeczonego z bogatą dziedziczką. Wprowadzona w towarzystwo męskie narażona jest dziewczyna na bardzo zabawne przejścia, wywołujące wesoły śmiech u wszystkich widzów. Komedya „Młodość — Płochość“, ma wyjątkowy przywilej bawienia ludzi, a za każdem jej wystawieniem teatr zawsze był przepełniony. Niezawodnie w obecnej porze komedya będzie ściągać tłumy widzów, pragnących dobrze się zabawić. Gra Asty Nielsen w tej komedyi jest mistrzowska.

We wtorek i środę 23—24 czerwca wznowiony będzie obraz: „Grzechy Ojców“, w czwartek i piątek 25—26 czerwca „Primadonna“. I w tych obrazach Asta Nielsen ma popisowe role. W program wchodzi jeszcze doskonały obrazek humorystyczny: „Augustyn i wielbłąd“, oraz najnowszy Przegląd Tygodniowy.

Przedstawienia codziennie od 4·30 do 11-stej. W niedzielę i święta o godz 3, 5, 7 i 9.

Dyrekcya Krajowej Szkoły kupieckiej w Przemyślu ogłasza, że wpisy do dwuklasowej Szkoły kupieckiej odbędą się dnia 1, 2 i 3 lipca oraz 31 sierpnia i 1 września b. r. a na jednoroczny kurs handlowy żeński dnia 31 sierpnia i 1 września.

Warunki przyjęcia do szkoły dwuklasowej: do klasy przygotowawczej: ukończenie 13 lat życia i co najmniej IV. klasy szkoły ludowej, oraz złożenie egzaminu wstępnego z języka polskiego i rachunków; do klasy I. ukończenie 14 lat życia i III. klasy szkoły średniej lub wydziałowej, względnie złożenie egzaminu wstępnego z materyału klasy przygotowawczej.

Warunkiem przyjęcia na kurs handlowy żeński jest ukończenie 14 lat życia i III. klasy wydziałowej, realnej lub średniej, względnie złożenie egzaminu wstępnego z zakresu nauk, udzielanych w 3-klasowej szkole wydziałowej.

Szkoła kupiecka ma na celu przygotowanie młodzieży do zawodu handlowego i danie jej całokształtu wiadomości handlowych.

Zauważa się, że absolwenci dwuklasowej szkoły kupieckiej mogą być pociągnięci tylko do dwuletniej czynnej służby wojskowej i że świadectwo odejścia tej szkoły, zastępuje przy uzyskaniu dowodu uzdolnienia trzyletni czas nauki w przemyśle handlowym.

II. Zjazd polskich esperantystów odbędzie się w Bochni w dniach 28 i 29 b. m. Protektorat nad zjazdem przyjęli dotychczas pp: Ferdynand Maiss, burmistrz miasta Bochni i poseł na Sejm krajowy, Jan Veltzé, radca namiestnictwa i kierownik starostwa, Antoni Hanusz, marszałek powiatu bocheńskiego i Adam Ruebenbauer, poseł parlamentarny.

Celem zjazdu będzie założenie „Ligi polskich esperantystów“, którąby, w połączeniu z podobnemi instytucyami innych narodowości Austryi, reprezentowała ideę neutralnego, pomocniczego języka międzynarodowego wobec państwa i rządu. Na czele komitetu miejscowego urządzającego zjazd, stanął prof. gimn. p. Zdzisław Wilusz, sekretarzem jest p. Leopold Kronenberg.

Urozmaiceniem zjazdu będzie wycieczka do Wiśnicza Nowego pod Bochnią celem zwiedzenia starożytnego zamku książąt Lubomirskich oraz raut w Okocimie.

Przygotowaniem zjazdu zajmuje się wspólnie z komitetem bocheńskim Tow. „Esperanto“ w Krakowie (Wiślna 4), do którego należy kierować wszelkie korespondencye.

Karta uczestnictwa w zjeździe 2 K. Celem przygotowania odpowiedniej ilości mieszkań, komitet uprasza o jak najwcześniejsze zgłoszenia.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

6

W tej samej chwili olbrzymia błyskawica rozdarła sklepienie niebios, oświetlając chaotyczne skłębienie ciężkich, czarnych chmur, podobnych do całunu, fantastycznie udrapowanego.

Ciężki, odurzający zapach liści i kwiatów szedł od lasu, nieporuszanego najlżejszym oddechem wiatru. W tem przygnębieniu wyczerpanej natury, cisza, przerywana wyciem nocnych zwierząt, miała w sobie coś złowrogiego.

— Tak — rzekł po chwili milczenia Ralf Pitcher — wrócimy do laboratoryum. Jakieś niewytłumaczone uczucie lęku mnie ogarnia. Gdybym był zabobonny, wierzyłbym, że stanie mi się dziś jeszcze jakieś nieszczęście.

— Śmiejcie się ze mnie — szepnął Boleński — ale mam wrażenie, że te wstrętne potwory krążą ciągle koło nas.

— Powinniśmy może byli udać się naprzeciw miss Alberty — zauważył Jerzy Darvel, wdychając z trudem rozpalone powietrze.

— Automobil już wyjechał do Fabarki — odpowiedział Ralf Pitcher — zresztą droga nie jest ani daleka, ani niebezpieczna, chybaby piorun uderzył...

Pitcher nie dokończył myśli, zaniepokojony jednak mimowoli uwagą młodego człowieka.

W kilka chwil później uczeni znajdowali się już w laboratoryum, pogrążonem w ciemnościach.

Inżynier Boleński rozświetlił elektryczne światło i puścił w ruch wszystkie wentylatory.

— Chcecie, abym zapuścił filcowe zasłony? — zapytał, sadowiąc się we fotelu.

— Nie, nie trzeba! — odpowiedział kapitan Wad — będziemy mogli przez szyby podziwiać burzę, która rozpanoszyła się na dobre. Patrzcie! co za wspaniały widok! Laboratoryum nasze, otoczone temi oślepiającemi błyskawicami, wygląda, jak olbrzymi piec gorejący!...

W tej chwili wszedł pospiesznie Zaruk, trzymając coś ukrytego pod burnusem. Twarz miał wylęknioną, a ruchy gorączkowe i niespokojne.

Pierwszem jego staraniem było szybkie opuszczenie zapadki szklanej, którą bezwiednie Boleński otworzył, wchodząc.

— Cóż tam znowu? — zapytał Pitcher.

Murzyn drżał cały i nie mógł wymówić słowa. Rzucił tylko na stół przed swoim panem przedmiot ukrywany pod płaszczem. Był to nieżywy młody szakal.

— Cóż ty chcesz, tchórzu, żebym z tem uczynił? — zapytał Pitcher.

Ale nagle wydał okrzyk zdziwienia. Przesunąwszy machinalnie ręką po futrze zwierzęcia, zauważył, że ciało jego było obwisłe i puste jak worek, zupełnie wypróżnione ze wszystkich substancyi żywotnych. Była to tylko skóra, zwieszona na szkielecie.

Kapitan Wad przybliżył się i rozdmuchał żółtą sierść zwierzęcia poza uchem i bez słowa wskazał towarzyszom skórę, naznaczoną w kilku miejscach czerwonemi plamami.

— Domyślałem się tego — szepnął zamyślony — to są plamy, identyczne z temi, jakie zauważyliśmy na ręce Frymcoocka. Ten szakal został żywcem wyssany przez „niewidzialnego“, lub przez „niewidzialnych“. I któż nam może powiedzieć, że ludzkość cała nie będzie zmuszona stanąć do walki przeciw napływowi tych potworów, zaniepokojonych obecnie wyniszczeniem lasów, kolejami, aeroplanami, wogóle całą maszyneryą naszego dzisiejszego postępu.

— A więc będziemy walczyć! — zawołał z entuzyazmem Ralf Pitcher. — Jeżeli doszliśmy do ich wykrycia, to znajdziemy sposób, aby ich uczynić nieszkodliwymi!

Jeżeli mamy się poddać w pierwszej walce, to doprawdy żałować tylko należy, że odziedziczyliśmy cały skarb wiedzy, odkryty od pięciu tysięcy lat przez ludzi. Ci niewidzialni pochłaniacze kości mogliby mieć pewną siłę w czasach pogańskich Rzymu, gdzie wzięto by ich za półbogów, lub w ponurych czasach średniowiecznych, ale teraz, nie! Wiedza jest dostatecznie uzbrojona przeciw wszelkim katastrofom i niema już nic dla niej niezrozumiałego.

Powinniśmy się cieszyć, że nam właśnie przypadło w udziale odkrycie tych istot nieznanych!

Słowa te rozprószyły nieprzyjemne uczucie, wywołane wejściem Zaruka. Wypytywano go drobiazgowo, w jaki sposób wpadł na trop zaduszonego szakala.

Według swojego zwyczaju, Murzyn poszedł po obiedzie wypocząć w ogrodzie, pod stalą z porfiru, na której wznosiły się wielkie fajansowe wazony z kwiatami, niedaleko starego drzewa oliwnego.

Wiedziano ogólnie, że tam Zaruk spędza długie godziny z twarzą rozjaśnioną dziwnym uśmiechem, wsłuchując się bystro w najlżejszy szmer, dochodzący z ogrodu. Zmysły jego bardzo wysubtelnione, rozróżniały doskonale każde brzęczenie owada, pełzanie ciche kameleonów i jaszczurek, nagłą ucieczkę kotów dzikich z gąszcza krzewów. Słyszał każde drgnienie drzewa, poruszanego siłą rozrodczą soków wiosennych, pękanie strączków, nabrzmiałych owocem, pod dotknięciem palących promieni słońca. W czasie tych ekstatycznych rozmyślań, Zaruk doświadczał, doprowadzonej do najwyższej potęgi, rozkoszy artysty, wsłuchującego się w cudowne symfonie natury.

I w ten sposób zapewne słuch jego i węch wydoskonaliły się tak znakomicie, że zastępowały mu zupełnie potęgę wzroku.

Dnia tego dumanie Zaruka przerwane nagle zostało głuchem trzepotaniem skrzydeł, po którem nastąpił rozpaczliwy krzyk agonii.

Drżąc z przerażenia, murzyn nie wyszedł ze swej kryjówki, odgadując natychmiast obecność przeklętego „dżima“.

Gdy szmer ustał, Zaruk odważył się wyjść i łatwo odnalazł ciało zaduszonego szakala, którego, sam dziwiąc się swojej odwadze, przyniósł natychmiast do laboratoryum.

Po opowiadaniu Zaruka zaległo długie milczenie, wszyscy uczeni pogrążeni byli w poważnych rozmyślaniach.

— Zapewne te wstrętne istoty — rzekł w końcu Boleński — posiadają potężną intelligencyę, bo powierzchowność ich tak bardzo przypomina mózg powiększony.

I znowu na ten temat zawiązała się ożywiona, gorączkowa rozmowa.

— Kiedyś, w przyszłości — rzekł zamyślony kapitan Wad — człowiek dzisiejszy stanie się podobny do tych gigantycznych mózgów... Staje się już banalną prawdą przekonanie, że wszystkie niepotrzebne organa skazane są na zagładę. Mówiłem wam o tem wczoraj przy obiedzie. Jest to wskazówka, którą zawdzięczamy Berthelotowi; chemiczne pożywienie sprowadzi zanik żołądka i wnętrzności i wykaże nieużyteczność pewnych funkcyi wątroby. Człowiek, odżywiany preparatami łatwo strawnymi, nie będzie potrzebował zużywać sił swoich na ciężki proces trawienia.

A mam nadzieję, że jeszcze później zastąpi codzienne wyczerpanie organizmu przez wprowadzenie dyrektywne w żyły specyalnie przyrządzonej substancyi.

— Chcę wierzyć — zauważył Jerzy Darvel — że przez stopniowe zanikanie organów, te potwory, nazwijmy je Wampirami, doszły do zatrzymania w sobie tylko mózgu silnie rozwiniętego, ale nie mogę sobie wytłómaczyć, dla jakiej przyczyny są niewidzialne? I dlaczego oczy ich, nos i uszy doszły również do stanu zaniku?

— Wytłómaczę to panu — odpowiedział kapitan — i to bez pomocy nieznanych promieni, które mogłyby doskonale wyjaśnić to zjawisko.

Przed niedawnym czasem pewien węgierski uczony zdołał przywrócić zwrok ślepym przez bezpośrednie działanie na gałki oczne, to jest na ośrodek mózgowy, rozporządzający wzroczną siłą.

Według mojego przekonania, brutalny mechanizm zmysłów zdany już jest na zatratę. Tkanki nerwowe bez ich pomocy będą odbierać wrażenia zewnętrzne.

Smak, powonienie, słuch i dotyk nie będą mieć celu istnienia.

— A więc Wampiry — zauważył Darvel — doszły do tej idealnej doskonałości, którą my odgadujemy zaledwie? Do urzeczywistnienia tej pociągającej hypotezy, zdaje mi się, brakuje jeszcze wiele.

— Naprzykład?

— Czy uznaje pan również zanik muskułów i energii żywotnej?

— Zdaje mi się...

— Myli się pan, panie Darvel — przerwał z ożywieniem kapitan Wad. — Wykażę panu teraz tezę, która w wściekły gniew gotowa wprowadzić wszystkich atletów i sportsmanów. Muskuł jest mechanizmem ciężkim i ordynarnym, zależnym od aparatu trawienia, którego człowiek przyszłości potrzebować już nie będzie.

Jestto muskuł, który strąca człowieka do rzędu zwierząt!

W małych tylko wyjątkach ludzie wielkiego geniuszu nie posiadali wybitnej siły fizycznej.

Czy Newton, Ludwik XI., Michał Anioł, Napoleon byli siłaczami?

Umysł rządzi materyą, mózg kieruje światem!

— Zrozumiałem — rzekł Darvel. — Więc twierdzi pan, że muskuły w człowieku zaginą?

— Ależ naturalnie! To prawda, bijąca w oczy!

— Jest to tylko kwestya kilkuset wieków — przerwał trochę ironicznie Ralf Pitcher.

— Zapewne — potwierdził kapitan — ale już dzisiaj mieszkaniec wielkiego miasta posługuje się coraz mniej muskułami. Dzięki automobilom, kolejom, aeroplanom nie potrzebuje tyle czasu tracić na chodzenie i coraz mniej jest chętny do dźwigania ciężarów. Cwiczenie fizyczne będzie wkrótce uważane za rozrywkę, a nie za zajęcie.

— Ale pracownicy rolni, robotnicy fabryczni?

— Tak, oni nam dają pracę muskułów, to prawda! Lecz [illegible] zredukowaną i redukującą się z dnia na dzień! Wieśniak nawet pomaga sobie żniwiarkami i młocarnią elektryczną, lub parową! Prze-

konacie się, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy maszyna zastąpi całkowicie człowieka! a wtedy...

Słowa kapitana przerwał grzmot przeciągły.

Burza, która zbierała się od dłuższej chwili, wybuchła teraz w całej okazałości. Uczeni zaprzestali dyskusyi, przyglądając się przez szyby laboratoryum temu wspaniałemu widokowi.

Burza obrała sobie widocznie za centrum walki głęboką dolinę, na której wznosiła się willa.

Ciężką, sinawą atmosferę przecinały co chwila ogniste błyskawice. Od czasu do czasu w tej powodzi fosforycznego światła ukazywały się dalekie lasy i rwane linie pejzażu na tle ołowianych chmur. Miało się wrażenie, że ktoś opuścił zastawy olbrzymiego, świetlistego jeziora, którego gorące, promienne fale spadały z wściekłością na pokłady chmur, zmuszając je do ucieczki.

Widok był wspaniały!

Deszcz począł padać grubemi kroplami — jakiś specyalny, żywiołowy deszcz, którego fosforyzujące ostrza nasuwały myśl jakiegoś szatańskiego potopu.

Jerzy Darvel z towarzyszami przyglądał się temu szałowi rozkiełzanej natury z uczuciem podziwu i lęku zarazem. Chociaż byli przyzwyczajeni do częstych burz w tych stronach, nigdy jednak jeszcze nie byli świadkami podobnego kataklizmu.

Bo nie była to zwyczajna burza!

Tak, jak w rezerwoarze olbrzymim koncentruje się zgęszczony płyn elektryczny, tak straszna ilość niebezpiecznego fluidu zebrała się w dolinie, otoczonej zewsząd górami.

Ogniste błyskawice, przecinające niebo w linii przedziwnie prostej, bez zwyczajnych skrętów, biły raz w raz w ziemię naokoło willi z głuchym pomrukiem.

Stary dąb w odległości stu kroków od laboratoryum, przeszyty ognistą strzałą, runął z łoskotem na ziemię.

Ralf Pitcher i kapitan Wad zamienili ze sobą niespokojne spojrzenia.

— To nie są zwyczajne błyskawice! — zauważył przyrodnik, potrząsając głową. — Zdaje mi się, że nie powinniśmy tu dłużej pozostać!

— Co znowu! — zawołał Boleński — sądzi pan, że grozi nam niebezpieczeństwo?

— Takie jest moje przekonanie! Idźmy stąd!

— Ależ to oczywiste dzieciń
stwo! — zawołał pogardliwie inżynier. — O jakiem niebezpieczeństwie pan mówi? Czy sądzi pan, że willa da nam lepsze schronienie? Zapomina pan chyba, że ten pawilon ochroniony jest czterema spadochronami!? i...

Boleński nie dokończył już rozpoczętego zdania, oślepiająca jasność zabłysła nad szklanym dachem, który rozgorzał w jednej chwili do czerwoności.

W sekundę później masa rozpalona do białości w kształcie olbrzymiej kuli spadła na dach laboratoryum z przeraźliwym świstem, po którym nastąpiło głuche wstrząśnienie.

Napół oślepiony meteorem, z porażoną dotkliwie prawą ręką, Jerzy Darvel skoczył w tył, wydając okrzyk bólu i trwogi.

Szklane pokrycie pracowni było zmiażdżone zupełnie. Pchany instynktownym ruchem samoobrony, młody człowiek wybiegł na teras, sąsiadujący z laboratoryum. Lecz powrócił natychmiast, przywołany rozpaczliwymi jękami wydobywającymi się z pod gruzów.

Nagle wzniósł się kłąb oślepiającego, białego światła. To retorta z eterem buchnęła ogniem!

To białe, tragiczne światło, wznoszące się prosto w niebo, przetkane błyskawicami, nadało katastrofie odblask ostatecznej, nie do opisania grozy!

Cały dramat rozegrał się z błyskawiczną szybkością, nie trwającą nawet minuty.

Jerzy Darvel czuł w rękach i oczach ból nieznośny; szedł potykając się pomiędzy szczątkami szkła i metalu, nieprzytomny prawie, pociągnięty magnetycznie olbrzymim białym płomieniem, skąd dochodziły rozdzierające jęki.

Nagle człowiek jakiś skoczył ku niemu; ubranie, twarz i ręce miał zczerniałe, a w twarzy wyraz obłąkanego przerażenia.

— Jerzy, moje kochane dziecko, czy to ty?

Jerzy rozpoznał po głosie Ralfa Pitchera.

— To pan, panie Ralfie wyszeptał z trudem. — Zaledwie pana dostrzedz mogę! Mam oczy pełne krwi, powieki spalone! Co za straszny wypadek! A gdzie inżynier Boleński i kapittn Wad?

— Nieżywi obydwaj zapewne!

— A Zaruk?

Pitcher wskazał ręką na nieruchomą masę, leżącą na ziemi.

— Nie wiem — rzekł — czy jest zabity, czy tylko zemdlony! Pomóż mi go pan wynieść!.. Nie możemy tu pozostać ani minuty dłużej... Znajduje się tu wielka ilość pikratu i innych eksplodujących materyałów. bardzo niebezpiecznych. Dziwię się, że się jeszcze nie zapaliły. Uciekajmy stąd prędko!

Pitcher i Jerzy Darvel pochwycili ciało Murzyna i zanieśli w odległy koniec terasy.

— Skrzydło z laboratoryum wkrótce wyleci w powietrze — rzekł zgnębiony Pitcher. — Wszystkie aparaty nasze i narzędzia ulegną zniszczeniu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko bohatera greckiego z roku 1823—5.

□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Góry w Europie. 2. Konanie. 3. Miasto w Europie. 4. Prowincya włoska. 5. Indyjski bożek słońca. 6. Imię męskie. 7. Buda markietanki. 8. Brak krwi. 9. Pospolita ryba. 10. Szyderstwo. 11. Państwo w Europie.

Zagadka literacka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć nazwiska autorów niżej wymienionych dzieł. Litery ich początkowe, czytane z góry na dół, utworzą dwa imiona króla polskiego.

Trzy pokolenia?
Ku gwiazdom?
Narcyza?
Bunt?
Rycerze?
Przed wschodem słońca?
Komedya miłości?
Nigdy?
Związek młodości?
Fuga Bacha?
Dla iskry Bożej?
Ku złotej przełęczy?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Sęk Sary złoci wór pawia na kępie.

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Pierwsze-drugie słyszysz czasem,
Kiedy wiosną idziesz lasem,
Tam też znajdziesz *trzecie-czwarte*,
Co dobrego smaku warte,
Drugie-trzecie nad świtaniem
Budzą głośnem odzywaniem:
Pierwsze-drugie-trzecie-drugie,
Głośne, chrypliwe i długie.
Trzecie-drugie rzadko w borze,
Zato dużo jest w oborze.
Całość świeża lub mielona,
Gotowana i pieczona.

Logogryf.

Ułożyła Fr. Hirschówna, Nadwórna.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzył imię i nazwisko polskiej poetki.

□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□
□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□
□
— □ —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Instrument muzyczny. 3 Miasto w Szwajcaryi. 4. Zwierzę domowe. 5. Samogłoska. 6. Spółgłoska. 7. Ptak. 8. Zdrobniałe imię męskie. 9. Okres czasu. 10. Spółgłoska. 11. Spółgłoska. 12. Ryba 13. Miasto nad morzem Śródziemnem. 14. Część twarzy. 15. Samogłoska.

Szarada.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Pierwsza wspak zwyczajna głoska,
Drugich, również *wspak,*
Znajdziesz wiele pośród dziewcząt,
Zgadnąć łatwo tak!
Trzecia, rzeka to wspaniała,
Strumień wszystkim znan,
Całość, suknia, zwykle czarna,
Proszę, zgadnij pan!

Równanie.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego dzieła.

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{5}+\frac{d}{2}=x$$

$$\frac{s}{4}+\frac{t}{3}+\frac{u}{2}+\frac{w}{4}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Ród książąt siedmiogrodzkich. b) Miasto w Galicyi. c) Utwór Goszczyńskiego d) Pieczywo wielkanocne. s) Czapka polska. t) Ubiór japoński. u) Naczynie. w) Kierunek filozoficzny.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko i imię polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Stopień wojskowy. 3. Rodzaj bata 4. Przezwisko mieszkańców Ameryki Północnej 5. Kwiat polny. 6. Część stroju kapłana. 7. Bóg podziemia. 8. Nazwa karty. 9. Spółgłoska.

Przysłowiówka.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek powstaną dwa polskie przysłowia:

1) e a a a a a.
2) ę a ę ę y e

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *S. Ostrowskiego:* **Rok klęski.** Powieść z czasów Księstwa Warszawskiego.

Ze świata kobiecego.

Dziwactwa mody.

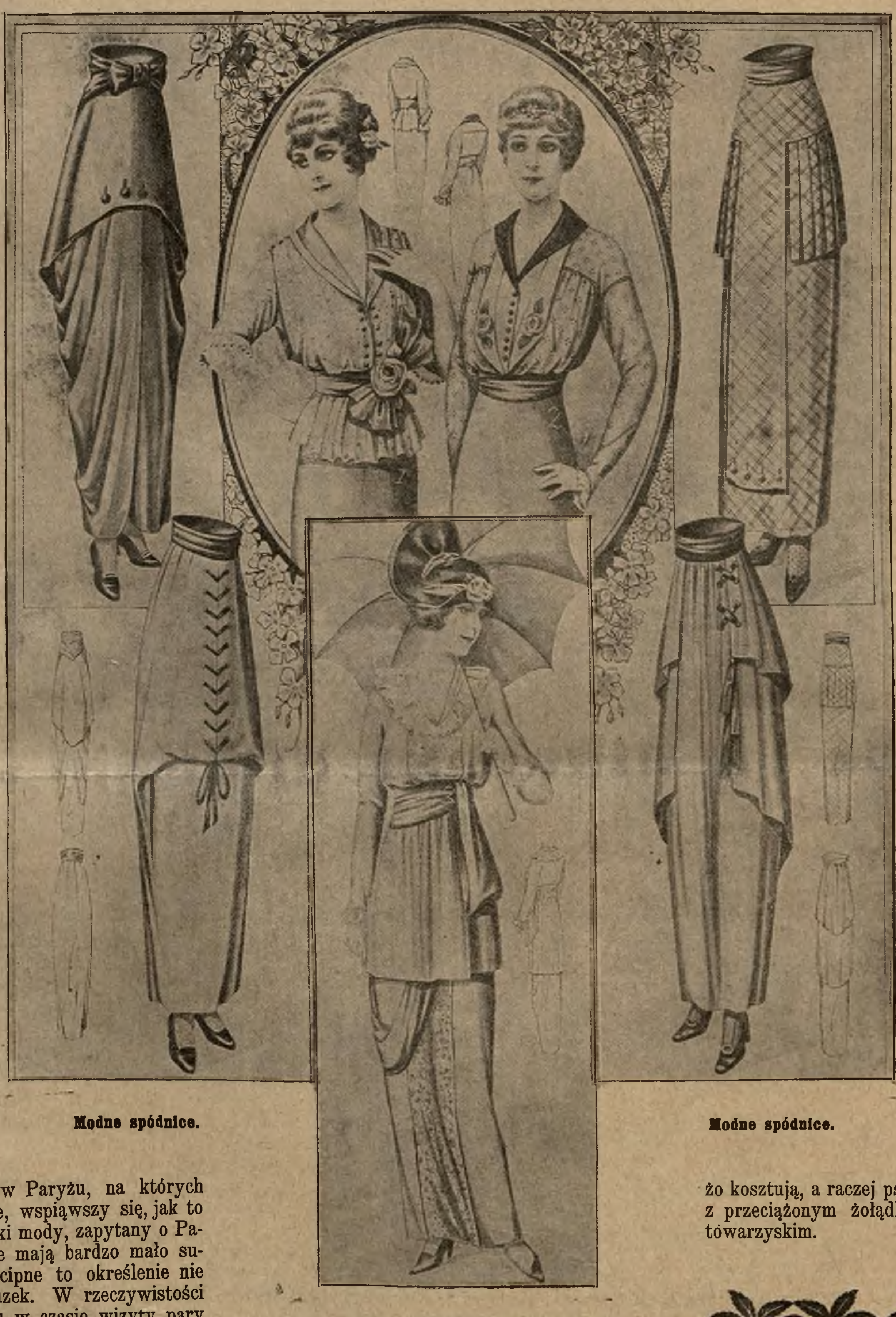
Odezwa Związku Niewiast katolickich, wzywające wszystkie kobiety, obdarzone zdrowym sensem, do walki z nielogicznościami i nieprzyzwoitością obecnej mody, zwróciła ogólną uwagę na tę palącą kwestyę i pobudziła krytycyzm tych, co dotąd biernie odnosili się do dziwactw mody. Nie łudzę się bynajmniej, by miało to oddziałać radykalnie na reformę obecnych strojów kobiecych Ale niech dziesięć procent nawróci się i odwróci od potworności obecnych, a już to będzie niemałym zyskiem; nie pozwoli to może zaszczepić się niektórym, nazwijmy to, nadużyciom, które już zdobyły sobie między półświatkiem Paryża i ślepo naśladującemi je kołtunkami z prowincyi obywatelstwo. Sposób dekoltowania się ich jest wprost ohydny. Na wieczorach „zielonego karnawału" i w operze paryskiej widuje się damy, które mają staniki wycięte na plecach tak głęboko, że w najwęższem miejscu stanik ma zaledwie 3 centymetry wysokości. Inne zakrywają kompletnie plecy, przechodzące nawet w wysoki kołnierz Medici, natomiast posiadają boczki zale dwie na 6 cm. wysokie i przód wyglądający jak ślimak, opuszczony od środka biustu do pasa i to wszystko trzyma się za pomocą wstążek lub przepasek ze sztucznych kamieni, wreszcie mocnego tiulu, który najchętniej dają Paryżanki koloru cielistego.

Trzeba jednak przyznać, że ubierające się w ten sposób kobiety spotykają się z takiem szyderstwem i cynicznemi uwagami, że trzeba być specyalnie zamiłowanemi w lekceważącem traktowaniu, aby się na to narażać. Król duński, wracając z wyścigów w Paryżu, na których wystąpiły elegantki paryskie, wspiąwszy się, jak to się mówi: na ostatnie pazurki mody, zapytany o Paryżanki, miał powiedzieć, że mają bardzo mało sukien, a dużo kamieni. Dowcipne to określenie nie jest pochlebnem dla Francuzek. W rzeczywistości miały one okazye do popisu w czasie wizyty pary angielskiej i duńskiej. Na wyżej wspomnianych wyścigach rekord za najpiękniejsze toklety wzięły cztery: jedna z nich była z gazy żółtej, przybrana drukowanym tiulem w desenie blado-zielone i pomarańczowe, tunika sznurowana z boku, otwierała się na wąskiej spódnicy z białego jedwabiu, takaż kamizelka wysuwała się z pod stanika w kształcie bolero.

Druga, przypominająca stroje narodowe modnej dziś Albanii, składała się z wąskiej spódnicy i szerokiej tiuniki czerwonej, stanik i objęcie tiuniki z haftu w bardzo krzyczących tonach na białem tle. Kapelusz do tego był z tagali czerwonej w kształcie płaskiego beretu, podpięty dwoma sztywnemi, czarnemi piórami w kształcie sierpa.

Trzecia suknia składała się z dwóch spódniczek, dłuższej i krótszej, z cieniutkiego woalu czarnego, na które nałożona była tiunika z woalu granatowego w jaskrawe pasy, z którego uszyty jest też stanik, przedstawiający się z przodu jak bobro, z tyłu jak pelerynka. Rękawy i przód stanika z czarnego woalu na białem tle. Toaletę wykończał kopelusz z granatowej tagali, przybrany girlandą cieniowanych róż.

Czwarta toaleta składała się ze spódnicy z gazy plisowanej w kolorze pawiowym, na którą przychodziła tiunika w kolorze tango, ondulująca się, krótsza z tyłu i obszyta wstążkami w kolorze spódnicy, staniczek krajany w kształcie kimona, sięgający luźno cokolwiek za pas i otwarty bolerowato z przodu, z tegoż materyału co tiunika i jak ona mocno ondulujący w talii.



Modne spódnice. Modne spódnice.

1) Suknia biała, z żakiecikiem białym w różowe grochy, kołnierz i pasek różowy. 2) Suknia z białego płótna, bluzka haftowana, kołnierz z czarnego jedwabiu. 3) Suknia z białego płótna, przybrana płótnem drukowanem w rodzaju bułgarskim.

Wyż wzmiankowane wizyty królewskie dały okazyę do reformy przyjęć, która została zasygnalizowaną w całej Europie. Oto postanowiono, że nawet galowe dworskie obiady mają mieć zmniejszoną ilość dań; maximum przepisanem dziś jest: dwie zupy do wyboru, cztery *entreé* do wyboru, dwojakie pieczyste z dwiema jarzynami i deser.

Na *menu* wyszczególnione są rodzaje zup i *entrée*, aby każdy dysponował służbie, tak aby obiad nie trwał dłużej, jak trzy kwadranse, lub godzinę.

W domach bogatych zastępują też coraz więcej porcelanę zastawą srebrną, wychodząc z założenia, że takowa, jako nietłukąca się i przechodząca z pokolenia w pokolenie, jest koniec końcem tańszą.

Zaprowadzono nawet modę butelek srebrnych, najczęściej wyrabianych z drobniutkiej siatki, opatrzonych w ruchome dno, przez które wsuwa się butelkę, jak w zbroicę i opatrza maleńką tabliczką porcelanową, w srebro lub emalię oprawną, na której wypisuje się nazwę wina.

Bardzo modnemi są rynki z wierzchu miedziane, w środku srebrne, w których podają się delikatne jarzynki, paszteciki i niektóre leguminy, szczególniej te z rzędu tanich i prostych, jak ryż ze śmietaną i t. p.

Są to naturalnie rzeczy dla ludzi bardzo bogatych, ale dla mniej bogatych i zupełnie niezamożnych jest błogosławione postanowienie zmniejszenia obfitości przyjęć, które dużo kosztują, a raczej psują zabawę, człowiek bowiem z przeciążonym żołądkiem staje się ciężkim i nietówarzyskim.

Furlana.

KIMONO
Kraków, ul. Karmelicka L. 7

WYŁĄCZNY MAGAZYN i PRACOWNIA
Zamówienia uskuteczniа do 4 godzin.

BLUZEK



Do patefonu
bez tuby należy przyszłość.

Od najskromniejszej izby do najwykwintniejszego salonu, wszędzie dziś już jest **Patefon** na pierwszem miejscu, jako najpiękniejsza ozdoba i rozrywka.

S. Grudziński i T. Berger
Kraków, ul. Szewska 22/51. Telefon 305.

Gra szafirem. Czysta, głośna, piękna reprodukcya. Nowe modele w cenie od K 26·— do K 450·—. Cenniki darmo. W sklepie produkuje się bezinteresownie.

„KRYSZTAŁ" Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.
Podgórze, Słowackiego 27 — Telefon 3232
POLSKA FABRYKA WARSZAWSKICH CUKRÓW i CZEKOLADY
poleca Warszawskie karmelki pierwszorzędnej jakości wyrabiane syst. **Witolda Sobolewskiego.**
Właściciele fabryki: Wacław Wasilewski i Ska.

ZAKŁAD
plisowania, gufrowania i obciąganie guzików.
Kraków, ul. Grodzka L. 60
Parter B

Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie.
poleca dzieła pedagogiczne **Reassnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Obcych Języków w szkole i w domu, bezpłatnie,** bo **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i kluczem p. t.:

SAMOUCZEK
Polsko-Niemiecki kurs wstępny hal.: 16, 32, 72 i 1·20; I. K 2·40, kurs II. K 4·80
Polsko-Francuski kurs I. K 3·60, kurs II. Kor. 9·60; **gramatyka franc.** K 3·60
Polsko-Angielski kurs I-szy K 2·30, kurs II-gi K 3·60
Polsko-Rosyjski kurs wstępny hal. 16, 36, 72 i 1·20: I-szy K 4·20, kurs II-gi K 5·40.
Ameryk. przewodnik z rozmówkami angielskiemi K 1·30.



Jeżeli Panu się zdaje, że niema punktu wyjścia ze swego trudnego położenia, to proszę oznaczyć miesiąc, rok i datę swego urodzenia, załączając przytem 97 kopiejek markami w zamkniętej kopercie w liście poleconym, to W. P. otrzyma szczegółową odpowiedź. Warszawa, Leszno 53 Grafolog B. Misznajewski Odpowiedź tylko po rusku.

Gramofony, Pathefony
i płyty w wielkim wyborze poleca
L. Huttrer, Kraków
Grodzka 59, I. piętro.
Wykonywa wszelkie reparacye szybko i tanio.

Tylko K 2·90 najnowszy wynalazek fotograf. „Beatrix"!



Praktyczny dla początkujących. Eleganckie i precyzyjne wykonanie, z przyrządem do przestawiania dla bliskich i dalekich zdjęć, portretów, krajobrazów etc. Format obrazu 4 1/2×6 cm. Ostro wysuwający się objektyw z zamkięciem mosiężnem, metalowa kaseta z przyborami, obrazem próbnym i dokładn. pouczeniem dla początkujących. **Komplet tylko K 2·90** Mały kompletny aparat „Flix" format obrazu 4×4 cm. **tylko K 1·60.** Do nabycia za zaliczką przez Zakład fotograficzny
Leop. Schächter, Wiedeń XVI/2, Lerchenfeldergürtel 5. Oddział 4.

Gotuj ze zrozumieniem. Jest to najnowsza dewiza uowoczesnej kobiety. Starodawne tajemnicze recepty przeżyły się już. Dziś prowadzi się kuchnię według zmienionych reguł, dobrze i smacznie. Dlatego używa praktyczna nowoczesna gospodyni Dra Oetkera proszku do pieczywa. Pomaga on zaoszczędzić na czasie, pracy i pieniądzach. Zaręcza on powodzenie pieczywa wszelkiego rodzaju. „Jasna głowa" jest najpiękniejszym i najlepszym symbolem tego niezrównanego środka pomocniczego. Nawołuje on nas: „Gotuj ze zrozumieniem".

5

Senzacyjne zjawisko natury XX. wieku!!
Zastrzegam się, że niechcę zrobić nikomu płatnej reklamy, jak to się zdarza w podobnych wypadkach, lecz każdego pouczę zupełnie darmo, jak się **wykurowałam** z moich **długoletnich ciężkich**
cierpień płucnych
astmy i kaszlu. Tani ten środek domowy mogę każdemu bardzo tanio sporządzić. Proszę tylko nadesłać ofrankowaną kopertę na odpowiedź. **Pani B. Kolenská, Wrschowitz koło Pragi,** Czechy.

I-sza fabryka zegarków Hanns Konrad
c. i k. dostawca dworu w Brüx Nr. 5378 (Czechy).

Do nabycia tylko od mojej firmy



Nr. 4090. Prawnie chronionej marki „Adler Roskopf" zegarek Patent-Anker-Remontoir w niklowej schowce z dobrym obciągniętym werkiem K 7·—
Nr. 4091. Z sekundnik. „ 8·—
Nr. 4092. Z podwójną kopertą „ 9·80
Nr. 4093. Z sekundnik. „ 11·—
Nr. 4094. W prawdziw. srebrnej schowce „ 13·50
Nr. 4096. Z podwójną kopertą „ 17·50

Na każdy zegarek 3-letnia pisemna gwarancya!
Wysyłka za zaliczką.
Bez ryzyka! Zamiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy.
Katalog główny z przeszło 4000 rycinami wysyłam na żądanie każdemu darmo i opłacony.

JAK Z BECZKI



tak świeże, czyste i mocne jest piwo flaszkowe napełniane senzacyjnym, patentowanym, amerykańskim
Napełniaczem do flaszek piwa
Kwas węglowy nie uchodzi i niema straty piwa. Samodzielny usuwacz piany.
Cena z aluminium **K 14·—** na 1 fl.
„ „ „ 20·— „ 2 „
„ z mosiądzu „ 17·50 „ 1 „
„ „ „ 25·— „ 2 „
Wysyłka opłacona za pobraniem. Illustrowany katalog darmo i opłacony.
J. Korngut, Wiedeń, XXI/4 od. N.

MAGAZYN KRAWIECKI
A. BROSS
Kraków, Floryańska L. 44
tuż obok Bramy Floryańskiej.
ANGIELSKIE MATERYAŁY
w wykonaniu
elegancya — punktualność.
P. T. Przejezdnym przymierza w dniu zamówienia.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany
Józefa Kuleszy
naprzeciw cmentarza w Krakowie
Telefon 1359.
posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.
Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

Polecenia godna podróż dla przyjemności i zdrowia.



Przez Fiume { **do Dalmacyi** / **„ Wenecyi i Ancony** / **„ Albanii i Grecyi**
Zupełnie bezpieczna i przyjemna podróż morska na pierwszorzędnym z komfortem urządzonym parowcu.
Informacyi udziela Agencya międzynarodow. Towarzystwa wagonów sypialnych
Węgiersko-kroackie Tow. „Fiume" dla okrętów parowych.



Siwe włosy
czynią ludzi przynajmniej o 10 lat starszych
„Juvenon"-Champion
jest jedyną wodą, uznaną przez paryskie powagi, która nagle wraca włosom i zarostowi ich pierwotną, trwałą barwę. „Juvenon" nie jest farbą, lecz płynem sporządzonym z roślin. **„Juvenon"** jest wyrabianem przez **„Parfumeur Champion" w Paryżu** i jest do nabycia przez generalne zast. na Austro-Węgry
E. Lederer, apteka, Budapeszt, IV. Muzeumring 21
Cena jednej flaszki kor. 5·— za pobraniem lub poprzedniem nadesłaniem należytości.



NIEDERLANDZKIE
Towarzystwo Ubezpieczeń na życie
Dyrekcya w Wiedniu I., Aspernplatz 1
(we wł. pałacu).
Gł. agencye: **Tarnów, Podgórze i Przemyśl.**
Kapitał ubezpieczony około K 422,300,000·—
Rezerwa premiowa „ „ 116,000.000·—
Rozwój Towarzystwa w ciągu ostatnich 30-tu lat:

1881	K 2,243.744·38
1883	K 8,848.202·88
1888	K 39,500,510·60
1893	K 81,724.261·22
1898	K 166,615.639·40
1908	K 341,223.100·85
1910	K 372,400.010·66
1912	K 402,194.964·60
1913	K 422,300.000·—

Zdolni agenci, którzy mają stosunki tylko w lepszych sferach, zostaną przyjęci za wysoką prowizyą i stałą pensyą.
Sub-Dyrekcya **M. Griffel, Kraków, ul. Grodzka 38.**

Szkoła buchalteryi i rachunkowości państwowej
HENRYKA GOTTLIEBA
zaprzysiężonego rzeczoznawcy ksiąg handlowych przy c. k. Sądzie krajowym w Krakowie
otwiera KURS WAKACYJNY
przygotowawczy do egzaminu z rachunkowości państwowej, składanego w c. k. Namiestnictwie we Lwowie, i do egzaminu z buchalteryi pojedynczej i podwójnej, składanego w Akademii handlowej we Lwowie lub Krakowie. W skład tego kursu wchodzi również: korespondencya handlowa, konwersacya polska i niemiecka, stenografia, pisanie na maszynie i kaligrafia. Kurs ten trwa tylko 3 miesiące, a rozpoczyna się 1-go lipca b. r. tak, że kandydatki i kandydaci na ten kurs zapisani będą mogli zasiadać do egzaminu już w pierwszych dniach września. **Honoraryum za powyższy kurs wynosi wyjątkowo 100 koron.** Nauki udziela się również w drodze listownej. — Wpisy przyjmuje tylko do 30-go czerwca kierownik szkoły **Henryk Gottlieb** w biurze buchalteryjnem **w Krakowie, przy ulicy Dietlowskiej 68.**

Zmiana lokalu!
Handel delikatesów, restauracya i pokoje do śniadań pod firmą **Karol Wołkowski Kraków**
obecnie **Rynek główny L. 15 (róg Grodzkiej). Telefon 366.**
Poleca z komfortem urządzony lokal, składający się z sali dużej, małej, garderoby i gabinetów na wesela, rauty, pikniki i zebrania towarzyskie. Urządza całe zastawy od najtańszych do najwykwintniejszych tak we własnych lokalach, jak i w domach prywatnych.
Wydaje obiady z trzech dań po K 1·10

LALKI
Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie
poleca w wielkim wyborze
C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE
ul. Grodzka 2

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor. M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.